

Tylko u nas – ogłoszenia drobne za darmo!!!

Łódź Odgłosy

Nr 23 (1708)

Rok I (XXXIV)

27 października

1991 r.

Cena 3000 zł

Czy na Ukrainie odkryto lek na raka i AIDS?

Szał w Kijowie!

- Interweniował już sam Gorbaczow
- By uzyskać „Viturid” groził granatem

Reportaż specjalnego wysłannika Odgłosów na stronie 3



50-letnia mieszkanka Symferopola, Tamara Worobiowa, biochemik i immunolog twierdzi, że odkryła lekarstwo na raka i AIDS. Po raz pierwszy testowała „Viturid” 23 lata temu na... sobie. Miała raka. Żyje i cieszy się dobrym zdrowiem do dziś. – Jestem przekonana, że otrzymam Nobla, ale nie na tym mi zależy. Chcę pomóc milionom ludzi, którzy cierpią i przeżywają osobiste tragedie – mówi skromnie.

Koneserom dobrej kuchni i smakoszom

Restauracja
– Cocktail-
Bar



LYON

poleca dania kuchni francuskiej. Aby zaspokoić życzenia naszych Konsumentów posiadamy duży wybór win francuskich.

Lokal nasz mieści się przy ulicy
Piotrkowskiej 103/105

i czynny jest codziennie w godzinach 8.00-24.00.

Pod numerem 32-37-77 przyjmujemy telefoniczną rezerwację miejsc. Na zamówienie organizujemy kameralne przyjęcia i wystawne bankiety. Gwarantujemy obsługę kelnerską na najwyższym poziomie.

**BON APPETIT I DUŻO MIŁYCH
WRAŻEŃ ŻYCZY PAŃSTWU**

Dyrekcja



spółka z o.o.

proponuje niecodzienną okazję.

Sprzedaż w cenie hurtowej już od 2 sztuk tego samego towaru importowanego w swoim Domu Handlowym

„Teofil”

Łódź, ul. Aleksandrowska 38.

Ceny sprzed 2 lat – towar nowy!

UWAGA HURTOWNICY I WŁAŚCICIELE SKLEPÓW!!!

W związku ze zmianą profilu naszej hurtowni sprzedajemy odzież i bieliznę importowaną w cenach sprzed 2 lat. Przy zakupie za gotówkę dużej ilości i ta cena jest do uzgodnienia.

Adres hurtowni: Łódź, ul. Brukowa 8, tel. 51-55-16.



● Ze słuchaczami I programu Polskiego Radia rozmawiał „na żywo”, przez całą godzinę prezydent Lech Wałęsa. Na pytanie: „Jak długo jeszcze będą rozrywać Polskę spółki nomenklaturowe?”, prezydent odpowiedział: „Tak długo, jak długo Polacy nie wezmą się razem z prezydentem do zabezpieczania tego wszystkiego. A mogą w tym wziąć udział przez swój Sejm, który robi prawo. Ja już proponuję: trzeba rozliczyć przeszłość, trzeba zabrać wszystkim Art. „B” i innym. Ja się dziwię, gdzie polscy patrioci? Dlaczego nie przywieźli jeszcze hochszaplery, oszusta do Polski, który jest w Izraelu. To ja mam to robić? Uszom i oczom – bo odpowiedź pana prezydenta przedrukowała „Gazeta Wyborcza” – nie dowierzaliśmy. Bo czyżby prezydent RP namawiał polskich patriotów do terroryzmu?”

● W roku ubiegłym Stefan Kisielewski, na łamach „Wprost” przyznał swoje pierwsze „Nagrody Kisielewskiego”. Tygodnik uzgodnił z jego synem, Jerzym Kisielewskim, że od roku bieżącego będzie przyznawał Nagrody im. Stefana Kisielewskiego. Tuż przed śmiercią Kisiel wypowiadał laureatów tegorocznych nagród. Zostali nimi: Jan Krzysztof Bielecki, premier RP, Jerzy Grohman, pełnomocnik prezydenta RP do spraw reprowizacji i Bogusław Bąsik, były współwłaściciel i prezes Art. „B”. Po wiadomości, że został laureatem nagrody, Bogusław Bąsik powiedział: „Informacja o przyznaniu mi nagrody przez pana Stefana Kisielewskiego sprawiła mi ogromną, nieklamana satysfakcję. Z drugiej jednak strony opanował mnie ogromny smutek – odszedł bowiem ten, którego nazywałem Człowiekiem przez duże C. Moja obecna sytuacja, spowodowana rozdmuchaniem tzw. afery Art. „B”, stawia mnie w pozycji przymusowego banity, w oczach wielu już skazanego.” Zapewne Bąsik jeszcze nie wiedział, co dla niego proponuje Lech Wałęsa.

● Uwaga mieszkańcy Polesia! W polskim Zespole Opieki Zdrowotnej trwają przymiarki projektu ograniczenia czasu pracy kilkunastu poradni rejonowych i specjalistycznych. O tym, że projekt jest skutkiem braku pieniędzy na służbę zdrowia nie tylko w dzielnicy Polesie, ale generalnie w Łodzi i w Polsce, pisać już nawet nie wypada. Mieszkańcy Bałut, Śródmieścia, Górnej i Widzewa nie mają się co cieszyć, bo przedzie czy później spotkają się prawdopodobnie z takimi samymi kłopotami. Informację o oszczędnościowych działaniach ZOZ na Polesiu „Gazeta Łódzka” zatytułowała „Lepiej nie chorować”. Gdyby nie brzmiało to tak makabrycznie, wypadłoby może powiedzieć – „Pora umierać?”

● Przedwyborcze harce rozwijają się pełną parą. W Łodzi nieznani sprawcy niszczą słupy ogłoszeniowe Unii Demokratycznej. W Konstancynie czwórka mężczyzn rozlepiających plakaty tejsze Unii agresywnie zaatakowała i nakazała opuszczenie miasta Tytusowi Tomczyńskiemu, kolportującemu 22 września materiały wyborcze prezentujące mec. Karola Głogowskiego, kandydata Ruchu Wolnych Demokratów do Senatu. Ale to jeszcze nic. Były komendant wojewódzkiej policji w Słupsku, na konferencji prasowej zorganizowanej przez Zarząd Regionu NSZZ „S”, zarzucił senator Annie Boguckiej-Skowrońskiej, że współpracowała z SB. Pani senator, członkini Unii Demokratycznej, wniosła do sądu oskarżenie prywatne i pozew o ochronę dóbr osobistych. „Trybuna” opublikowała list T.Kwiatkowskiego, w swoim czasie likwidatora „Igloopolu”, z którego wynika, że marszałek Senatu, Józef Ślisz chciał, aby majątek „Igloopolu” wartości 15 mld zł sprzedać spółce jego syna za 900 mln zł. Czekamy na dalsze rewelacje przedwyborcze.

B. M.

Odgłosy

Tygodnik „Odgłosy”
Redaktor naczelny Paweł Woldan
Wydawca: „Odgłosy-Press” S.C.
90-113 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5
☎ 36-52-44
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
Druk: Drukarnia Prasowa S. A.
Łódź ul. Piłsudskiego 82

Budujemy nasz kapitalizm powszedni i trzeba owoić się z zasadą, że wszystko jest towarem, że z wszystkiego da się wycisnąć pieniądze lub inne profity. Trzeba również przywyknąć i do tego, iż towar lepiej da się sprzedać jeśli się go zżęcznie zareklamuje, to znaczy wzmówi ludziom jego doskonałość i skrzętnie ukryje lichosć zachwalanego towaru. Bywa, że im gorsza oferta, tym bardziej wyszukany i zwodniczy sposób jej reklamowania.

Do tego, że osoba otaczanego w Polsce szczególnym szacunkiem Jana Pawła II jest wykorzystywana jako reklama zdążyłem już przywyknąć, co nie znaczy, że zaakceptowałem ten proceder. Pełno przecież wizerunków papieża (najczęściej fatalnie wykonanych) na rozmaitych wydawnictwach, bibelotach, galanterii, zniczach nagrobkowych i ostatnio nawet na podkoszulkach. Domorośli wytwórcy masowo produkują ekslibrisy dla papieża, znaczki do klapy, długopisy, termometry i talerze na ścianę z jego podobizną – wystarczy zajrzeć do pierwszego z brzegu kramu z pamiątkami, aby się o tym przekonać. Widać „toważ z papieżem” idzie, skoro jest go tak wiele i mimo że w tak podłym guście i gatunku.

Najnowszym osiągnięciem w wykorzystaniu wizerunku Jana Pawła II do celów reklamowych jest kolorowy plakat Wyborczej Akcji Katolickiej, w dużej ilości rozlepiony w okolicach dworca Łódź-Kaliska, ale pojedyncze egzemplarze można także zobaczyć na murach śródmiejskich kamienic. Oto kandydujący w wyborach prezes Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego Wiesław Chrzanowski, obecny minister sprawiedliwości i prokurator generalny, widać nie ufając własnej atrakcyjności, zdecydował się na „podpórke” – reklamuje się potencjalnym wyborcom kolorowym zdjęciem z papieżem.

Skoro ponad dwa lata temu zdjęcie z pewnym elektrykiem było przepustką, aby wejść do Sejmu lub Senatu (po czasie okazało się, że było to kupowanie kota w worku i to jeszcze bardzo wyleniałego), to obecnie zdjęcie z Janem Pawłem II wydaje się być pewną gwarancją znalezienia się w parlamencie. Bi-

skupi w liście pasterskim z 27 sierpnia wszak zalecają, aby „programy partii idących do wyborów ocenić w sumieniu, zgodnie z obiektywnymi zasadami etyki chrześcijańskiej”, a ktoś może być lepszy niż ten, którego na plakacie wyborczym popiera sam Ojciec Święty. Toż można powiedzieć, że mamy do czynienia z prawdziwą Partią Pana Boga, która tylko przez przypadek nazywa się Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe. Zresztą w Gorzowie Wielkopolskim biskup Michalak, widać mający mało rozgarniętych wiernych, wręcz wyłożył kawę na ławę i zalecił, że

kowi. Widać brak im własnych walorów i muszą reklamować się przy pomocy papieża. Plakat z Janem Pawłem II dla katolików, jak się wydaje, ma być jasną wskazówką na kogo trzeba głosować.

Przy tej okazji warto jednak przypomnieć pewną historię biblijną o czarowniku samarytańskim Szymonie Magu, który chciał odkupić od apostołów dar udzielania Ducha św., za co został surowo zgromiony przez samego św. Piotra. Stąd wzięło się pojęcie symonii, czyli świętokupstwa, kupczenia godnościami, beneficjami i sakramentami kościelnymi. Ciekawe

Kupczenie Ojcem Świętym

katolicy mają głosować wyłącznie na katolików. A ktoś może być bardziej arcykatolicki niż ten, którego w kampanii wyborczej reklamuje sam papież?

Ojciec Święty, w sprawach wiary i sumienia będący zastępcą Pana Boga na ziemi, wskazuje więc najlepszego kandydata, właśnie prezesa Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, a w jego osobie widać popiera wszystkich jego kolegów, którzy najpełniej odpowiadają „obiektywnym zasadom etyki chrześcijańskiej”. Tak jak gipsowy zniczek z wizerunkiem Jana Pawła II pewnie lepiej i jaśniej pali się na cmentarzu, tak i profesor Chrzanowski, a w Łodzi wraz z nim panowie Niesiołowski, Kropiwicki, Małczyk, Bohdanowicz i inni zareklamowani plakatem Wyborczej Akcji Katolickiej z wizerunkiem papieża rozblyszli nam mądrością w parlamencie. Wprawdzie jakiś sceptyk mógłby powiedzieć, że płomień znicza zależy od jakości knotu i gatunku stearyny, zaś wartość kandydatów prezentowanych przez Wyborczą Akcję Katolicką od kilku bardziej istotnych szczegółów niż fotografia z Ojcem Świętym, ale nie bądźmy małost-

czy według prawa kanonicznego pan minister Chrzanowski, wykorzystując do swej wyborczej reklamy zdjęcie z Ojcem Świętym, dopuścił się kupczenia osobą następcy św. Piotra, czy też jeszcze ciężkiego grzechu symonii nie popełnił? A jeśli nawet biegli w Piśmie uznają, że nie jest to świętokupstwo, to wydaje się, iż plakat z papieżem jest dowodem grzechu pychy – jednego z najcięższych.

Czy w związku z tym katolik może głosować na kandydatów Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, którego lider grzeszy ciężko i do tego w miejscach publicznych? Myślę, że św. Piotr, gdyby pojawił się w Polsce, również surowo potraktowałby profesora Chrzanowskiego jak przed wiekami Szymona Maga i przypomniawszy słowa Chrystusa: oddajcie co cesarskie cesarzowi, a co bożemu Bogu. Widać jednak, że takiej możliwości Wyborcza Akcja Katolicka ani wspierający ją urzędnicy Pana B. w ogóle nie biorą pod uwagę.

Jan Wolborski

„Obawiam się, że rządy Kościoła spoczywają w rękach proboszczów”

Ktoś, kto krytykuje przedstawicieli hierarchii kościelnej, naraża się w Polsce na zarzut antyreligijności. Krytyka ta, dotycząca głównie stosunku Kościoła do spraw publicznych, może się teraz poszerzyć o krytykę, płynącą z pobudek czysto politycznych! Jeśli bowiem hierarchowie angażują się w wyborach po jednej ze stron, narażają się tym samym, iż dla strony drugiej lub trzeciej staną się przeciwnikiem, stojącym na drodze do wyborczego sukcesu! Nic więc dziwnego, że coraz liczniejsze są głosy, nawołujące do ponownego przemyślenia roli, jaką powinien odgrywać Kościół w demokratycznym Państwie Prawa. Ciekawie, choć w sposób refleksyjnie wyważony mówi o tym wybitny polski filozof, ks. prof. Józef Tischner („Przegląd Tygodniowy” nr 42, w rozmowie z Tadeuszem Zarębą):

– „Ostatnio niektórzy biskupi nawołują, by wierni głosowali na kandydatów wywodzących się z ugrupowań katolickich, twierdząc, że taki właśnie jest obowiązek chrześcijanina. Czy Kościół nie stał się w ten sposób stroną w grze wyborczej?”

– Jest to zawsze sytuacja delikatna. Zawsze tak było, jest i będzie, że niektórzy ludzie Kościoła idąc za swoim temperamentem czy głosem sumienia wypowiadają się na ten temat w sposób powściągliwy, a inni w sposób mniej powściągliwy. Kościół katolicki nie jest organizacją partyjną, w której obowiązują dyscyplina partyjna. Na tym polega jego wielkość, że mogą się znaleźć w nim rozmaite stanowiska. I dopóty, dopóki nie wchodzi w grę zagadnienia dogmatu czy podstaw moralności chrześcijańskiej, istnieje oczywiście swoboda wypowiedziania rozmaitych opinii. Tak było np. przed wojną w sprawie choćby ruchu ludowego i Witos. Na terenie diecezji tarnowskiej Witos był przez Kościół potępiany i zwalczany. O ile wiem, nawet był ekskomunikowany. Natomiast zupełnie inaczej było na terenie diecezji krakowskiej, gdzie ksiądz metropolita, kardynał Sapieha patrzył na ruch ludowy z ogromną sympatią. Trzeba się do tych różnic przyzwyczaić i nie traktować Kościoła jako partii politycznej. Można oczywiście zapytać, czy stanowisko biskupa z Tarnowa przed wojną było słuszne, czy nie, ale trzeba też powiedzieć, że sam fakt pluralizmu poglądów w Kościele jest zjawiskiem pozytywnym. Natomiast z poszczególnymi poglądami czy to biskupa, czy księdza, czy katolika, zawsze można polemizować”

Tak twierdzi ksiądz profesor. Co do nas, nie jesteśmy pewni, czy tak łatwo jest polemizować ze stanowiskiem np. biskupa, skoro zazwyczaj nie wypowiada się on w swoim własnym imieniu, tylko w imieniu Kościoła! Posłuchajmy jednak dalej:

– „Wielu kandydatów na parlamentarzystów odwołuje się do swoich związków z Kościołem. Czy w ogóle wypada wykorzystywać swoją religijność na potrzeby kariery politycznej?”

– Są tu dwie sprawy, które trzeba by odróżnić! Mianowicie, człowiek zapytany o to, jakie ma przekonania, szczerze powinien odpowiedzieć, jakie te przekonania ma. Jeżeli jest chrześcijaninem, powi-



nien powiedzieć prawdę. Jeżeli nie jest, też powinien powiedzieć prawdę. Natomiast w momencie, kiedy z tych przekonań robi się argument w wyścigu o władzę, wtedy dokonuje się już pewnej manipulacji przekonaniem religijnym. Wtedy sprawa zaczyna być dwuznaczna. Jeżeli ktoś mówi: głosujcie na mnie tylko dlatego, że ja jestem katolikiem i wy jesteście katolikami, to oczywiście wtedy mamy do czynienia z manipulacją poglądami religijnymi.”

Na zakończenie wywiadu padło pytanie o to, jak postrzega się Polskę na Zachodzie, z którego ks. Tischner dopiero co powrócił:

– „Polska oglądana z pozycji Zachodu wygląda dość specyficznie. Mianowicie, rzeczywiście straciła już pewien nimb narodu, który przewodzi na drodze do wolności. Pod pewnym względem łatwiej i lepiej zrobili to już Węgrzy. Pod innym względem Rosjanie budzą więcej zainteresowania z powodu dramatycznej sytuacji, w jakiej się znaleźli. Nadal jednak docenia się bardzo polską elitę polityczną, docenia się niestęchanie Balcerowicza, Skubiszewskiego. Ceni się Mazowieckiego. Niestety, autorytet prezydenta Wałęsy gwałtownie spadł. Obniżyły się także notowania polskiego Kościoła.”

Celowo zakończyłem na fragmencie, dotyczącym obrazu Polski z zagranicy. Korresponduje to bowiem z drugim wywiadem, jaki chciałyśmy w tym tygodniu zacytować. Andrzej Garlicki, który rozmawia w „Polityce” (nr 42) z redaktorem paryskiej „Kultury”, Jerzym Giedroycem, pyta go o widzenie Polski z dystansu, oczami długoletniego emigranta. Ocena nie wypada pomyślnie; dotyczy to również roli Kościoła:

– „Co pewien czas pojawiają się głosy, że to nie my mamy się uczyć Europy, ale możemy jeszcze wiele Europy nauczyć.”

– To jest polska megalomania. Bardzo mi przykro, ale również w wypowiedzi papieża, że Polska jest tym krajem, który będzie nawracał Europę.

Jak widzę politykę Kościoła w Polsce, to ogarnia mnie przerażenie, że będziemy chcieli wyeksportować to na zewnątrz.

– Jak pan ocenia stosunki państwo-Kościół?
– Uważam, że przede wszystkim powinniśmy bardzo konsekwentnie przeprowadzić rozdzielanie państwa od Kościoła.

– To znaczy mniej więcej to, co zrobił Bismarck sto lat temu?

– Tak. Bardzo ważny był tu artykuł Miłosza inicjujący dyskusję w „Gazecie Wyborczej”, a następnie artykuł Kotakowskiego.

W ostatnim orędziu biskupów można znaleźć, wprawdzie między wierszami, ale bardzo wyraźne potępienie stanowiska Miłosza. Nie wymienia się go z nazwiska, ale daje do zrozumienia o kogo chodzi. Kościół zajmuje bardzo wyraźne stanowisko. Powstaje pytanie – kto właściwie rządzi Kościołem? Na to bym nie umiał odpowiedzieć. Obawiam się, że dzisiaj rządy Kościoła spoczywają w rękach proboszczów, to znaczy bardzo skrajna, nacjonalistyczna, antysemicka polityka. To są bardzo niebezpieczne rzeczy.”

Po przeczytaniu powyższego fragmentu jedno jest pewne: Giedroyc jest dla Polski wielce pozytywny, bo mówi rzeczy, jakich nie mógłby powiedzieć żaden z czołowych polskich polityków, zbyt uwikłanych w krajowe gry i gierki. Podobna trudność dotyczy również ludzi kultury, o czym przypomniawszy Krzysztof Kieślowski („Głob 24” nr. 47):

„Trudno sobie wyobrazić w Polsce film, który sprzeciwiałby się wytycznym ustalonym i wprowadzanym przez Kościół i państwo. Sądzę, że nie znalazłby się odważny, który dałby pieniądze na taki film, nie mówiąc o rozpowszechnianiu. Ta cenzura jest dużo bardziej inteligentna od poprzedniej, dlatego że istnieje już 2000 lat”.

Wygląda na to, że ksiądz profesor jest zbytnim optymistą...

AG

Łódzka Izba Przemysłowo-Handlowa oraz Łódzki Zakład Usług Handlowych i Wdrożeń Innowacyjnych PUH w Łodzi

organizują spotkania z kontrahentami radzieckimi w celu nawiązania współpracy gospodarczej i organizowania wspólnych przedsięwzięć na terenie Rosji, Białorusi i Ukrainy.

Następne wyjazdy:

Odessa 4-8 listopada 1991 r.
Kijów 10-14 listopada 1991 r.
Mińsk 22-28 listopada 1991 r.

Informacje i zapisy – Łódź tel. 74-03-19, 74-60-72

Czy na Ukrainie odkryto lek na raka i AIDS?

Nie tak dawno w kijowskim Instytucie Farmacji miał miejsce znaczący wypadek. Do gabinetu dyrektora placówki wdarł się jakiś mężczyzna i wyciągnął z kieszeni filipinkę. Bawiąc się od niechcenia granatem zażądał, aby dali mu choć trochę „Vituridu”. Naukowiec próbował wymknąć się z pułapki, ale nieznamy odciał mu drogę zapowiadając, że jeśli nie zostanie spełnione jego żądanie, wysadzi się w powietrze wraz z gospodarzem gabinetu. Nie miał nic do stracenia, cierpiał straszliwie z powodu guza mózgu i nagle śmierć nie była mu straszna. Profesor wrócił na miejsce i zaczął dzwonić. Nie trzeba chyba dodawać, że „Viturid” dostarczono, choć jest praktycznie niedostępny i jedno jego opakowanie na czarnym rynku kosztuje 1500 rubli.

Odkrycie tego cudownego leku jest dziełem jednego człowieka – Tamary Worobiowej. Jest z wykształcenia biochemikiem, ale jako dodatkowe zawody podaje chemię spożywczą i immunologię. Nie posiada żadnych znaczących tytułów zawodowych, nigdy bowiem nie interesowała ją pozyskanie stopni dla zaspokojenia własnej próżności, a mimo to zmusiła do wysiłku utytułowanych naukowców. Twierdzi, że wykryła mechanizm obronny organizmu ludzkiego na poziomie molekularnym: rozszyfrowała tajemnicę procesów biochemicznych. Jeden z członków Akademii Nauk ZSRR na wiadomość o tym oświadczył, że to niemożliwe. Uzasadził to równie krótko: to niemożliwe, ponieważ niemożliwe. A jednak efekty lecznicze preparatu „Viturid” zdają się świadczyć, iż nawet rzeczy niemożliwe mogą stać się rzeczywistością.

Worobiowej, która mieszka na Krymie w prowincjonalnym, mimo wszystko, Symferopolu, nie było łatwo przebić się przez biurokratyczną sieć ze swymi rewelacjami, chociaż procesom immunologicznym poświęciła trzy lata życia. Los jakby predestynował ją do tego zadania.

Podczas drugiej wojny światowej jako mała dziewczynka znalazła się wraz z rodzicami w północnym Kazachstanie. Są to rejony, gdzie do częstych zjawisk należą powodzie. Kiedy dom Worobiów został zalany przez wodę, przesiedlono ich do chaty popa. Gospodarka dawno już rozstrzelano NKWD za antyradyckie nastawienie. W opuszczonym budynku na strychu walały się książki, resztki pokaznej niegdyś biblioteki. Wdrapywała się tam i przeglądała je przy świeczce, niektóre zabierała i czytała niemal potajemnie w świetle „oszczędnościowej” żarówki. Interesowały ją rosyjskie baśnie, ale takich książek tam nie było. Albo pop nie gustował w takich lekturach, albo zostały już wcześniej rozszabrowane. Było za to sporo różnych poradników. W jednym z nich znalazła starą, spisana na kartce receptę. Odręczny tytuł głosił, że jest to przepis na leczenie raka.

Tamara Worobiowa opowiada mi tę historię z dzieciństwa w kijowskim mieszkaniu swoich przyjaciół przy ul. Suworowa. Standardowy blok położony jest w dzielnicy Pieczerska, niedaleko słynnej Ławy, która rozświetla Kijów już przed wiekami na Ukrainie i w całej Rosji. Fakt, że znajdujemy się w pobliżu jednej z największych świętości prawosławia, przydaje naszej rozmowie swobodę i pewność, a ta „popia” historia czyni ją jeszcze bardziej przejmującą.

Worobiowa przyjechała do Kijowa nie tyle dla mnie, co dla przypilnowania swoich spraw związanych z produkcją „Vituridu”. Jej niski głos przechodzi miejscami w krótki, dobrotliwy chichot, ilekroć przychodzi jej mówić o trudnościach. Traktuje czynowników z pobłażliwością, na jaką pewnie nie zasługują, choć człowiek sowiecki od urodzenia przywykła do kłopotów. Na wszystko słyszy się odpowiedź: „Szczas budżet”. Dosłownie znaczy to „za chwilę”, która jednak rozciąga się na długie godziny, a przy braku przebiecia nawet na miesiące i lata.

W sprawie Worobiowej interweniował nawet sam Gorbaczow. W 1989 r. polecił ówczesnemu ministrowi zdrowia ZSRR Czatorowowi osobiste zajęcie się sprawą. Polecenie, które wyszło od najwyższej zwierzchności nosiło nr.165660, co daje wyobrażenie o skali interwencji. Niestety ministra po dwóch miesiącach odwołano, a nowy szef służby zdrowia nie podjął tematu.

– Z Symferopola niełatwo chyba dopilnować swoich spraw? – zauważyłem od niechcenia, kiedy Tamara Worobiowa nalala do filiżanki kawę z termosu; kawa to rzadki dziś rarytas na opustoszałym, ukraińskim rynku, a podobno gdzie indziej jest jeszcze gorzej.

– Och, to tylko godzinka, dwie loty do Kijowa – powiedziała.

– Tak to niedaleko – potwierdza syn Tamary Wasylowej, Eugeniusz. Z wykształcenia jest inżynierem, mieszka w Sewastopolu, ale towarzysząc matce w jej podróżach pozyskał nowy zawód – specjalizuje się w prawie patentowym, wynalazczym i ochronie własności intelektualnej. Specjalistów z tych dziedzin w Związku Radzieckim właściwie nie ma, wszystko stawało się natychmiast własnością narodu czyli partii i trzeba samemu rozpoznać wszystkie niuanse prawne, gdyż czynownicy czekają tylko, aby wystrychnąć partnera na dudka.

Worobiowa długie lata pracowała w wojsku, oczywiście jako pracownik cywilny. Wiąże ją tajemnica służbowa, nie może więc wymienić miast, w każdym razie cudem przeżyła wybuch paliwa kosmicznego. W promieniu wielu kilometrów wyleciały szyby, wielu ludzi straciło życie w

szalejącym ogniu, a ona ocalała. Mając jedną szansę na milion. Prawdziwa wybranka losu. Niestety wyszła z wypadku sparaliżowana, a na domiar wszystkiego wywiązała się choroba nowotworowa.

– Za wszelką cenę chciałam żyć, rozumie pan, miałam dwoje nieletnich dzieci. Eugeniusz miał wtedy siedem lat, drugie dziecko też było małe, niestety nie żyje. A ja znalazłam się na krawędzi śmierci.

Pracowała wtedy w wojskowym szpitalu specjalnego przeznaczenia, tam ją też położono, ale nikt nie dawał najmniejszej nawet szansy na wyzdrowienie. I wtedy przypomniała sobie starą receptę z domu popa. Długo wysilała pamięć, zanim odtworzyła wszystkie komponenty. Jako specjalistka w dziedzinie chemii wiedziała jedno: lekarstwo jest bardzo niebezpieczne. Zamiast spodziewanej pomocy, mogło ją równie dobrze zabić.

Uprosiła znajomych, aby zdobyli dla niej potrzebne czynniki i zegnając się ze światem, zażyła niebezpieczną truciznę. Koleżanka co dwie godziny robiła badania laboratoryjne, bo stan był ciężki, ale potem przyszła gwałtowna poprawa. Naczelny lekarz wojskowy, który po dwóch tygodniach przyszedł na salę szpitalną, aby na zawsze pożegnać swoją pracownicę, był zaskoczony i przecierał ze zdumienia oczy. Worobiowa leżała na łóżku z nałożoną na twarz maseczką kosmetyczną ze świeżych ogórków. Na widok przełożonego usiadła i uśmiechnęła się z odprężeniem. Przeprowadzono wszystkie badania kontrolne i okazało się, że nowotwór cofnął się, ustąpił także paraliż.

Na wiadomość o tym cudownym wyzdrowieniu wielu znajomych zwracało się do Worobiowej o pomoc dla swych beznadziejnie chorych bliskich. Nie miała odwagi ryzykować, gdyż wiedziała, że „popi” lek zabija, choć niekiedy z łitości udzielała rad i niektóre z nich okazywały się pomocne.

Po wyzdrowieniu cały czas myślała, jak tę niebezpieczną truciznę pozbawić jej jadu. Wypadek odmienił jej życie, postanowiła poświęcić się problemowi leczenia raka. Nie była lekarzem, tylko chemikiem, zgłębiła jednak całą dostępną literaturę medyczną na temat schorzeń onkologicznych. Po latach wyjątkowej, samodzielnej pracy, korzystając z pomocy znajomych, którzy wykonywali na jej rzecz potrzebne badania, bowiem nie dysponowała własnym laboratorium, ośmieliła się podawać swój preparat ludziom. Miała pewność, że przyniesie im ulgę, choć jeszcze niewiele wiedziała o jego właściwościach leczniczych. Tymczasem okazało się, że daje on niesamowite efekty. U pacjentów z zaawansowanymi procesami chorobowymi znosił ból, nie musieli zażywać środków oszłamających, innym przynosił wręcz wyzdrowienie. Chorzy otrzymywali lek na własne żądanie i przyjmowali go na własną odpowiedzialność, było to właściwie ignorancją prokuratorów, wiele ryzykowało. Ale wiadomość o lekarstwie rozniósła się wśród śmiertelnie chorych, zwracano się do niej coraz częściej po pomoc i szczęśliwie nie zdarzyło się nic, co mogło przerwać próby, a ją samą narazić na kłopoty. Wreszcie opracowała całą teorię działania swego leku, a także technologię jego pozyskiwania i zgodnie z radzieckim prawem zgłosiła się do przedstawicieli władz w jednej z miejscowości na Krymie. Oświadczyła, że znalazła sposób na leczenie raka.

Przedstawiciel lokalnej władzy musiał być widocznie zdrowym bykiem, gdyż całkowicie zlekceważył to oświadczenie. Nie zdobył się nawet na stwierdzenie, jak wspomniany tu wcześniej moskiewski akademik, że to niemożliwe.

Wtedy też poszło słynne pisanie do Gorbaczowa, które na krótko wydobryło sprawę z cienia.

Cechą człowieka sowieckiego jest cierpliwość. Worobiowa nie załamywała rąk, kiedy problem jej lekarstwa tonął w kolejnych, przepastnych gabinetach.

Użeranie się z urzędnikami, przełamywanie kolejnych barier biurokratycznych, wziął na siebie syn Worobiowej, Eugeniusz, również zahartowany jak matka, która dalej zajmowała się problemami naukowymi, opracowywała kolejne technologie leczenia chorób nowotworowych. Po wypracowaniu teorii działania leku nie było już takie trudne, a co ważniejsze teorię potwierdziła praktyka. Świadczyły o tym gromadzone skrzętnie dane statystyczne.

Synowi sprzyjało szczęście: udało mu się zainteresować sprawą Włodzimierza Pozniera, głównego dziennikarza telewizji moskiewskiej. Niestety niedługo po wizycie na Krymie Pozner wyjechał do Stanów Zjednoczonych, a jego materiał nie ukazał się na antenie.

Wkrótce jednak pomoc przyszła z najmniej oczekiwanego strony, bo z Kijowa. Pomimo przetrzymywania zgłoszenia przez władze centralne, Ministerstwo Zdrowia Ukrainy postanowiło zająć się sprawą.

Od tej chwili Tamara Worobiowa często zaczęła latać do Kijowa znajdując mieszkanie u swych przyjaciół z ulicy Suworowa, które stało się jakby jej kwaterą w prowadzeniu negocjacji. Lekarstwo i metody leczenia zostały zgłoszone do urzędu patentowego, który zresztą przewleka sprawę domagając się coraz nowych danych na temat wynalazku. Trzeba wypełniać szałniste ankiety, odpowiadać na liczne pytania, dołączać grube załączniki dotyczące różnych problemów technicznych, a potem na całe miesiące zapada cisza. I znów nowe pytania, nowe załączniki.

Alle sprawą zainteresowała się wreszcie prasa. Pojawili się informacje w gazecie „Radjańska Ukraina”, w miesięczniku „Zdrowie”, nadano kilka audycji telewizyjnych. W ślad za tym zaczęły przychodzić setki listów, jest ich, od początku roku, blisko 10.000. Są to prośby i błagania, rozpaczliwe wołania o pomoc zawierające słowa łamiące serce. Eugeniusz Worobiow pokazuje mi dla przykładu jeden z listów nadesłanych z ranną pocztą. Na znaczku pieczęć poczty ze Świerdłowska na Uralu. Treść da się sprowadzić do jednego: chcę żyć, w pani lekar-

Opinia Komisji Farmacji rozwiązała wreszcie ręce prężnej firmie prywatnej „Vita”, która podjęła się produkcji i dystrybucji leku w skali przemysłowej. W tym celu powołano także specjalne ambulatorium, do którego zgłaszają się lżej chorzy pacjenci. Otrzymują pomoc na miejscu. I chwala ją sobie.

Właściwości „Vituridu” czynią go także skutecznym w leczeniu AIDS czy ściślej wirusa HIV. Wyniki okazały się na tyle obiecujące, że specjalnie powołana fundacja, która ma na celu zwalczanie „dżumy XX wieku”, pośpieszyła firmie z wydatną pomocą finansową. Ten pierwszy krok w omijaniu raf biurokracji, jest jak dotychczas jedynym jasnym promykiem w sprawie „Vituridu”. Podobnie jak w Polsce preparat prof. Tolpy, ma on bowiem wielu wpływowych przeciwników, którzy robią wszystko, aby opóźnić jego uznanie.

– U nas wszędzie wciąż jest tylu „konserwatorów” – zauważa Tamara Worobiowa. Nie chodzi tu o ludzi ratujących przed zniszczeniem zabytki. Rosyjskie „konserwator” znaczy tyle, co konserwatysta.

Chcę żyć – nic więcej!



Tamara Worobiowa z synem Eugeniuszem

stwie cała nadzieja. Pod listem Sergieja podpisała się także Luba, prawdopodobnie narzeczona, gdyż znalazły się tam także słowa o wzajemnej, płomiennej miłości.

Pytam Eugeniusza, co im odpowie. Temu trzydziestolletniemu mężczyźnie, odkąd stał się także sekretarzem matki, przychodzi decydować w sprawach życia i śmierci nieznanym ludzi. Stwierdza, że zaprosi Sergieja do odwiedzenia ośrodka leczniczego, który otwarto niedawno przy firmie farmaceutycznej „Vita”, jednego, jak dotąd, producenta preparatu. Jeśli procesy chorobowe nie są zbyt daleko zaawansowane, jest niemal stuprocentowa szansa na wyzdrowienie pacjenta.

Eugeniusz twierdzi, a jego matka to potwierdza, że „Viturid” działa najbardziej skutecznie w trzech pierwszych stadiach choroby nowotworowej. Wyzdrowienie, bez nawrotów, jest tak szybkie, że aż nieprawdopodobne. Najwyższe efekty osiąga się u pacjentów, którzy nie byli leczeni farmakologicznie ani radiologicznie, leczenie pozostałych jest o wiele bardziej skomplikowane. W czwartym i piątym stadium choroby nowotworowej dla nieszczęśliwych nie ma już skutecznego ratunku, można tylko przydużyć ich życie. Życie własne, nie agonie – lek usmierza ból, daje przyływ sił. Beznadziejnie chorzy podnoszą się z łóżek, chodzą o własnych siłach, są nawet przez pewien czas zdolni do pracy. Potem odchodzą, bez cierpień, które czynią nowotwory złośliwe chorobą straszną.

Sława leku, nie miał on jeszcze wtedy nazwy i otrzymał miano „Vituridu” w porozumieniu z Komisją Farmacji Ukrainy, zdopingowała władze republikańskie do bardziej skutecznego działania. Nie oglądając się na Moskwę Kijów podjął pewne działania na własną rękę. Przed wszystkim Komisja Farmacji przetestowała lek pod względem toksyczności. Okazuje się, że nie daje on żadnych działań ubocznych i może być stosowany nawet profilaktycznie. Opinię tę potwierdził jeden z największych ukraińskich autoritetów naukowych prof. Trachtenberg.

Władze ukraińskie doskonale rozumieją, jakie znaczenie może mieć preparat w rejonach skażonych promieniowaniem radiacyjnym. Odległość Kijowa od wciąż niebezpiecznego Czarnobyla jest tak niewielka, że nawet w niektórych dzielnicach miasta zarejestrowano promieniowanie niezbyt bezpieczne dla ludzi. Ten problem wraca wciąż w rozmowach, ludzie mówią o nim w długich kolejkach, są podszyci nieustannym strachem. I ma on spore podstawy.

Skład chemiczny leku jak i metody leczenia objęte są tajemnicą. Z chwilą zabezpieczenia wszystkich praw autorskich Worobiowa zdecydowana jest ogłosić poważny artykuł naukowy w jakimś anglojęzycznym czasopiśmie medycznym, nie ma zamiaru przedłużyć sekretu. Będzie miała satysfakcję jeśli jej lek uratuje miliony ludzi.

– Można ogłosić artykuł także w czasopiśmie szwedzkim – stwierdza Eugeniusz.

Jest przekonany, że jego matka otrzyma Nagrodę Nobla. Za raka i za AIDS.

Pytam Worobiową, czy można stwierdzić, że jej odkrycie jest na miarę wynalazku penicyliny. – Istnieje zasadnicza różnica – zauważa Tamara Wasyljewa. – Fleming nie wiedział, jaki jest mechanizm działania jego leku. Ja w pełni prześledziłam reakcję biochemiczną.

I znów ten charakterystyczny chichot, który zwykle towarzyszył wypowiedziom o czynownikach. Choć nie, tym razem ten chichot jest jakby bardziej triumfujący. Ta kobieta o wyrazistych oczach i prostych, dość niedbale uczesanych włosach, dobrze wie, czego chce i jest pewna powodzenia.

Na koniec wyjaśnia mi, że „Viturid” ma postać mikstury. Jest bardzo prosty w użyciu, w zasadzie należy go stosować trzy razy dziennie. Leczenie trwa krótko, ale może przedłużyć się nawet do roku.

– A jaki ma smak?

– Smak? – Worobiowa spojrzała z lekkim zdziwieniem. – Smak ma przyjemny.

Aż prosiło się o metaforę: smak życia. A tu tak prozaicznie.

– Mężczyźni, z którymi rozmawiałem twierdzą, że ma smak niebiański – wtrąca z uśmiechem Eugeniusz.

Więc jest i metafora. Preparat „Viturid” ratuje życie, oddala perspektywę pójścia do nieba.

– Na moją rzecz pracuje teraz wielu naukowców, zostały zleczone poważne badania – ciągnie Tamara Worobiowa. – A wie pan, kto mnie najbardziej podtrzymuje na duchu? Moja siostra, lekarz naczelny w dużej klinice. To właściwie całe szpitalne miasteczko. I wie pan, co ostatnio powiedziała? Ty, Tamara, masz znacznie lepsze rezultaty w leczeniu raka. A teraz marzę, aby przyszedłono mi grupę chorych na AIDS. Im także chciałabym pomóc.

Bukała na posta!

Znamy go z „Wałów Jagiellońskich”. To ten wysoki, chudy. Trochę jakby bardziej refleksyjny. Grzegorz Bukała. Autor znanych piosenek „Wiosna w naszej wsi”, „Rzecz o życiu”, „Eine kleine bitte”, „Wariacje na temat skrzypka Herzowicza”, „Grusza, a sprawa polska”, „Staruszek jazz” i wielu innych.

Bukała już nie jest Walem Jagiellońskim. Dwa lata temu wziął się za biznes, no i jak przystało na człowieka biznesu, przyszła kolej na politykę. Kandyduje na posta w Bydgoszczy, reprezentując tamtejszy Kongres Liberalno-Demokratyczny. Jak nam powiedziano, na listach rankingowych – nieoficjalnie – znajduje się na drugim miejscu. Krótko mówiąc, zanoszą się, że Grzegorz Bukała zasiądzie w sejmowej ławie. No i dobrze, zwłaszcza że mimo politycznej kariery nie stracił tego, co każdemu posłowi może okazać się pomocne, a czego o wszystkich członkach i kandydatach do naszego ulubionego parlamentu niestety powiedzieć nie można – mianowicie zdrowego rozsądku i umiejętności oceny istniejącej sytuacji. Na dowód, że tak jest, przestał nam swoje ostatnie wiersze:

Na życie porad niepraktycznych kilka

W życiu to trzeba wyjść na swoje.
A jak się nie da, to na ludzi.
Być, zasnąć, śnić i się obudzić.
Doprawdy czegoż więcej trzeba?
No, może chleba.
W życiu to trzeba wyjść, wyjść na swoje.

Ale iść z podniesioną głową.
Bo jak się weszło na pokoje.
to nie, by zostać pokojową.
Chyba że pokojową Nobla...
O tak, ta jest dobra.
W życiu to trzeba, trzeba wyjść na swoje,
Bo życie to jest mus nad musy...
A ja dziękuję, ja postoję,
niczego nie chcę z posad ruszyć.
Zresztą posady już zajęte.
Ech wy, wy... ludki wyklęte.
Dajcie mi chociaż rentę... na pointę.
Mnie tam na życiu nie zależy,
ja mogę żyć i żyć...

Co jest Polska i dlaczego?

Polska to taka kielbasa.
Dobra jest ona,
podwędzona.
Niejedna klasa na nią łaśa
i moja żona.
A jak tu żony zaspokoić
i dzieciom wrócić wiarę w dzieła?
Tyle próbuje coś odkroić,
aż dziw, że jeszcze nie zginęła.
Polska jest pawiem narodów.
Podła intryga,
ktoś narzyga!
Nie brak nam wrogów
i powodów,
szkoda boryga.
Są w ojczyźnie jakieś rachunki...
Nie sumienia, się nie oplaca.
Obca dłoń pomieszała trunki,
naród płacze, płaci i zwraca.
Jest takie miejsce na ziemi...
Miejsce, jak miejsce
jest na szczęście.
Rzeki czerwieni,



armie cieni,
możemy więcej.
Żeby była, byleby była,
mimo krzywdy, kłamstwa i waśni.
Bo jest w nas ta fatalna siła,
bo jest w nas... a to Polska właśnie.

Truskawkowe marzenie

Dojrzewają nam maliny,
w których tkwimy,
cośmy sami je wysiali,
tyle malin.
Tyle ponurego gąszczu
dla tych paru garści mięszu;
dla słodyczy
nikt z logiką się nie liczy.
Drogi nasze kołomyjne,
nieprzychylnie.
Przedzieramy się w półmroku
krok po kroku;
z pretensjami do natury,
że nie dała innej skóry,
izby ciało
odrobinkę mniej cierpiało.

Grzegorz Bukała

Grzegorz Palka: „była to najlepsza inwestycja w naszym mieście...”

Niewypał jakim okazała się informacja, którą otrzymał poprzedniego dnia przewodniczący RM Andrzej Ostoję-Owsiany najpierw go poraził, a później zburzył porządek obrad Rady Miejskiej.

Jeszcze rano, nikt z radnych sennie przemierzających schody prowadzące do sali obrad nie przypuszczał, że w obronie interesów miasta przyjdzie mu tego dnia ruszyć na parlament. XXIV sesja Rady Miejskiej zapowiadała się bowiem nader spokojnie. W całości poświęcona miała być bezpieczeństwu i ładowi w naszym mieście.

Zaraz po rozpoczęciu obrad przewodniczący rady Andrzej Ostoję-Owsiany przeprosił licznie zaproszonych gości i zaproponował wyjazd do stolicy. Powodem była właśnie wiadomość, że pod obrady komisji sejmowych skierowany został w trybie pilnym projekt nowej ustawy o finansowaniu gmin.

Po usłyszeniu tej hiobowej wieści ciśnienie radnym skoczyło. Przewodniczący RM Andrzej Ostoję-Owsiany zajął się – „jeśli projekt ustawy przejdzie w takiej formie miastu grozi katastrofa. Musimy uchwalić petycję i jechać do Sejmu, bo jutro może już być za późno”.

„Projekt zyskał aprobatę krajowego sejmiku samorządowego” – przynaglał prezydent Palka. Przygotowany już wcześniej tekst petycji radni

przyjęli bez zastrzeżeń. Istotne różnice zdań pojawiły się w czasie podejmowania decyzji, co do sposobu jej przekazania. WKO – chciał posłać petycję faksem, radni z SdRP – wyprawić delegację. Jedynie klub ŁPO wnioskował o gremialny wyjazd radnych do stolicy i w głosowaniu właśnie ta opcja zwyciężyła. Opowiedziało się za nią 30 radnych (12 było przeciwnych a 7 radnych wstrzymało się od głosu).

Dwoma autokarami, które grały silniki już od rana zdezeterminowani radni, których było akurat tyle, by zająć jeden autobus, w asyście dziennikarzy pojechali na parlament. Za autokarami niebie-

skim polonezem podążała ekipa telewizyjna, co najprawdopodobniej stało się potem powodem złośliwej plotki, jakoby radnym towarzyszyła policja.

Po dwugodzinnej jeździe z jedną przerwą na tzw. papierosa radni wysiedli przed Sejmem. Przed bramą zatrzymała ich straż marszałkowska. Początkowo nie pomogły nawet wyjaśnienia Andrzeja Ostoję-Owsianego, że nasi radni to nie

Wycieczka na Wiejską



Komendant straży marszałkowskiej nie chce wpuścić do Sejmu naszych notabli.

Fot. Andrzej Wach

Zaprzeczyła też jakoby krajowy sejmik samorządowy poparł projekt ustawy.

Zrazu wywołało to u radnych nawet pewną konsternację, jednakże po wręczeniu petycji wice-marszałek Sejmu Oldze Krzyżanowskiej przykre wrażenie, że przyjechali tu niepotrzebnie, szybko zastąpiło poczucie dobrze spełnionego obowiązku i zadowolenia. Towarzystwo ono radnym aż do końca dnia, a panu prezydentowi Palce jeszcze dnia następnego. Zapytany przez dziennikarkę z Wiadomości Łódzkich o koszty wyprawy stwierdził, że „była to najlepsza inwestycja w naszym mieście”.

Nie ukrywając, że nie podzielamy wesołości pana prezydenta, prosimy aby zechciał odpowiedzieć nam na pytania:

1. Czemu służą w Radzie Miejskiej i Urzędzie Miasta teleksy i telefaksy jeżeli jedną petycję o obojętoci 2,5 strony maszynopisu, skierowaną do Sejmu zawoziło do Warszawy kilkudziesięciu radnych?

2. Jaki jest ogólny koszt przyjętego przez Radę Miejską sposobu dostarczenia petycji do Sejmu (diety radnych, kierowców, koszty paliwa itp., nieodbycie zaplanowanej na 16 października sesji Rady, stracony czas sędziów, policjantów i innych osób, które miały w sesji uczestniczyć)?

3. Czy petycja do Sejmu nie wzbudziłaby większego zainteresowania, gdyby przedłożyła ją delegacja złożona z 2-3 poważnych osób reprezentujących Radę Miasta, a nie liczna wycieczka urządzająca zajazd na parlament w ramach kampanii wyborczej prowadzonej przez głównych udziałowców Łódzkiego Porozumienia Obywatelskiego (Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe i Konfederacja Polski Niepodległej) sprawującego władzę w Łodzi?

Beata Kostrzewska

Nasz zakład proponuje Państwu

kompleksowe zabezpieczenie pojazdu systemami alarmowymi produkcji krajowej oraz zachodniej.
Wszelkie informacje uzyskają Państwo w zakładzie TUVIMA 15 lub telefonicznie: 33 04 61
Zakład czynny od 9 do 17

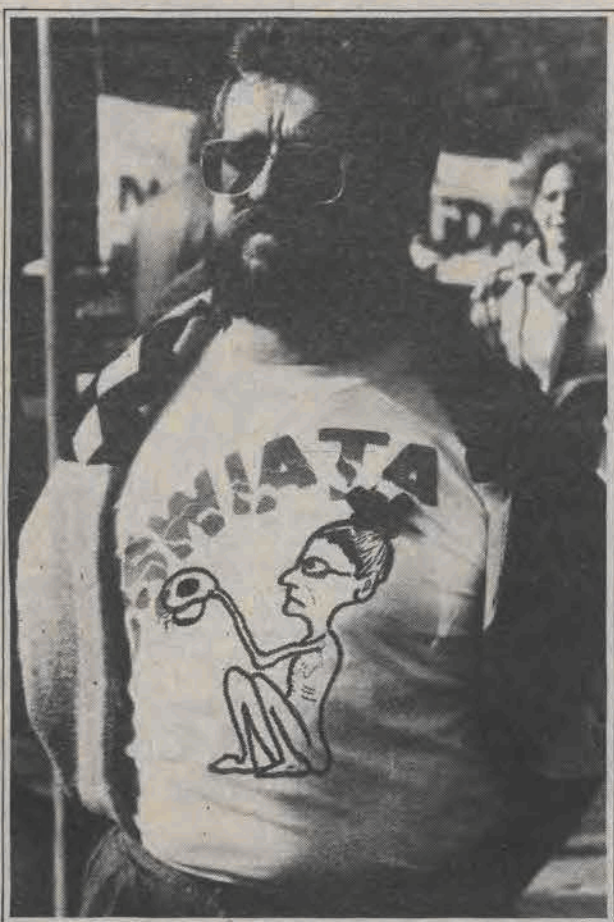


Ponad 10 tys. nauczycieli i pracowników oświaty wzięło udział w Marszu Milczenia, który odbył się w Warszawie w przeddzień święta Komisji Edukacji Narodowej.

Marsz był ostatnią formą trwającego już od maja protestu Związku Nauczycielstwa Polskiego, wymierzonego przeciwko programowi oszczędnościowemu ministra edukacji narodowej Roberta Głębockiego.

„Nie chcąc komplikować sytuacji przed wyborami” z dniem 18 października Ogólnokrajowy Komitet Protestacyjny ZNP zawiesił pogotowie strajkowe aż do odwołania.

Obecnie nauczyciele oczekiwali będą odpowiedzi na zadania zawarte w listach do prezydenta Lecha Wałęsy, premiera Bieleckiego i marszałka Sejmu Mikołaja Kozakiewicza. A także rozstrzygnięć toczącego się w arbitrażu społecznym sporu dotyczącego majowego programu oszczędnościowego MEN oraz sporu zbiorowego w sprawie programu oszczędnościowego z 24 sierpnia. Związek nadal domaga się jego uchYLENIA jako niezgodnego z instrukcją organizacji roku szkolnego 1991/92 i powodującego „pogorszenie warunków nauki i pracy, obniżenie poziomu nauczania i zagrożenie bez-



pieczeństwa i zdrowia uczniów”.

Premier Krzysztof Bielecki,

który spotkał się z przedstawicielami uczestników Marszu Milczenia obiecał, że przeanaliz-

Cisza krzyczy

Protest belfrów



zuje propozycję Związku dotyczącą przeznaczenia na potrzeby oświaty pewnej ilości środków z 2 bilionów złotych, o które może jeszcze w tym roku powiększyć lukę budżetową. Premier zapewnił także, że w najbliższym czasie podjęta zostanie ogólnokrajowa debata nad przyszłością systemu edukacyjnego w naszym kraju.

Najprawdopodobniej dyskusja ta toczyć się już będzie z nowym rządem i Sejmem, w czym – jak stwierdził prezes ZNP Oddział w Łodzi Krzysztof Baszczyński – związek również upatruje jakąś szansę. Jeśli rozmowy z rządem nie przyniosą oczekiwanych rezultatów ZNP stanie się w swoich protestach bardziej radykalny. Ogólnopolski Komitet Protestacyjny ZNP nie zdecydował jeszcze, jakie wobec niemożliwości porozumienia środki nacisku zastosuje. Nauczyciele są jednak zdeterminowani, jeśli bowiem oświata nie dostanie dodatkowych środków – zbankrutuje. Natomiast, jak poinformował przedstawiciel związku marszałek Mikołaj Kozakiewicz, w przyszłym roku planuje się znowu „obcięcie” środków na oświatę i służbę zdrowia.

Beata Kostrzewska

Rynek kapitałowy nie zauważył wizyty pani Thatcher

Gdy Margaret Thatcher chciała obejrzeć polskie świeżo sprywatyzowane przedsiębiorstwo, pokazano jej łódzką „Wólcankę”. Firma ta wraz z „Próchnikiem” figuruje na naszym polskim, raczkującym Wall Street. Fabryka koszul była ciekawsza do pokazania niż szklany, gierkowski „Próchnik”. Jest charakterystycznym obiektem w mieście upadłego XX-wiecznego przemysłu. Jej biuro mieści się w starym, przeciekającym pałacu, właśnie remontowanym. Wystawiono więc pospiesznie na czas wizyty rusztowania, konserwatorów resztek różowego marmuru we wnętrzach wyproszone, a skute tynki zasłonięto białym płótnem. Kosz barwnych kwiatów powodował na kominek w hallu i już można było

czuć. Zmalały koszty dowozu pracowników, gdyż za transport będą płacić oni sami. Ważna jest także komputeryzacja księgowości, co zwiastuje tańszy i szybszy obieg informacji. Trwa wymiana parku maszynowego. Inny także będzie marketing. Zmienili się krajowi pośrednicy w handlu, więc fabryka w przyszłym roku nawiąże formalne kontakty z hurtowniami. Utrzymywanie własnych sklepów firmowych jest zbyt kosztowne. Stałym problemem „Wólcanki” jest niedostateczna ilość dobrych tkanin, z których szyje wyroby na rynek krajowy. Rodzimy przemysł nie nadąża za modą i ma często zły skład surowcowy. Klient zaś – nawet ten polski – jest teraz tak samo wymagający, jak zagraniczny. Trzeba go zadowolić, nie tylko

Koszule w akcji

przyjąć słynną damę Europy.

Szwaczki witały gościa entuzjastycznie. Jest ich w „Wólcance” ponad 3 tysiące. Gdyby wiedziały, jak pani Thatcher w swoim kraju ostro redukowała zatrudnienie, może nie klaskałyby z takim zapalem. Szacowny gość na krótkiej kawie z Zarządem, zaraz poruszył ten temat. „Zatrudnienie trzeba ciąć, ciąć. Duża załoga, to kłeska przedsiębiorstwa” – powiedziała pani Thatcher. Tymczasem w „Wólcance” każdego dnia gotowi są przyjąć do pracy 20-30 kobiet. Chodzi jednak o pracownice wykwalifikowane. Zwraca się uwagę szczególnie na efektywność i łatwość przechodzenia z jednego asortymentu na inny. Elastyczność pomaga przedsiębiorstwu przy większych zamówieniach. Od około 7 lat firma stara się wyrównywać poziom produkcji we wszystkich swoich pięciu zakładach. Tak więc, jeśli szwaczki nie potrafią sprostać wymaganiom, firma z nich rezygnuje i szuka nowych. „Wólcanka” daje dobrym pracownikom stabilizację. Średnia płaca wynosi około 1500-1600 tys. zł, ale są też osoby, które zarabiają powyżej 2,5 mln zł. Koszule i bluzki są, jak wiadomo, kupowane powszechnie. I nawet zalew taniej konfekcji z Dalekiego Wschodu i z Turcji nie stanowi żadnej konkurencji. Krótkie serie firmy produkowane są pod zamówienia wymagających kontrahentów z Niemiec, Holandii i Skandynawii. Lniarne koszule ruszyły ostatnio na podbój Wielkiej Brytanii. Sprawdzonej odbiorców ma zresztą „Wólcanka” od dawna. Co zatem zmieniło się w przedsiębiorstwie po kilku miesiącach od jego sprywatyzowania?

W listopadzie ubiegłego roku „Wólcanka”, jak wiadomo, stała się spółką akcyjną. 10 czerwca tego roku ruszyła sprzedaż akcji. Perspektywa emisji obiecywał akcjonariuszom zredukowanie kosztów produkcji, modernizację, nową koncepcję marketingową, usprawnienie organizacji pracy. Wszystko to przyczyniać się ma do wypracowania większego zysku przedsiębiorstwa i dywidendy. W nowej strukturze zyskiem zainteresowani są nie tylko pracownicy, ale również właściciele akcji.

Pracownicy bezpośrednio produkcyjni stanowią 75 proc. zatrudnionych. W ostatnich miesiącach zredukowano 30 etatów pracowników umysłowych i 20 pośrednio produkcyjnych. Dotąd w okresie letnim, gdy sprzedaż bywa niższa o 40 proc., całe sale świeciły pustkami. Koszty zaś pozostawały te same. Teraz urlopy trwać będą maksimum 2 tygodnie, a resztę wypoczynkowych dni załoga otrzymywać będzie w innym

modnym wzornictwem, ale także wykończeniem, dodatkami, a nawet opakowaniem. Mimo gorszych krajowych tkanin, koszule „idą, jak woda”. W bieżącym roku sprzedano ponad 3 mln 200 tys. sztuk. Podsumowanie w sierpniu tego roku dało ze sprzedaży 13 mld zł! Gdy Margaret Thatcher zapytała szefów fabryki, czy potrzebują kapitału, odpowiedź brzmiała: „nie, stoimy znakomicie”.

Tymczasem na giełdzie „Wólcanka” zajmuje pozycję średniaka. Akcje lecą w dół, mimo że, jak powiedział prezes Ryszard Polański, wyniki za pierwsze półrocze „Wólcanka” miała lepsze niż „Exbud”, którego notowania są bardzo dobre. Największe pakiety akcji w ramach oferty publicznej kupił Bank Kredytowo-Handlowy z Katowic i Powszechny Bank Gospodarczy z Łodzi. Pracownicy „Wólcanki” jeszcze akcji nie kupili. Preferencyjne zasady sprzedaży pozwolą na ich zakup za połowę ceny. Jak twierdzi prezes R. Polański, w pierwszym etapie 70 proc. akcji będzie sprzedanych. Do końca tego miesiąca wiadomo będzie ile osób zgłosi się w drugim i trzecim etapie sprzedaży. Wiadomo jednak, że nie ci drobni inwestorzy decydują o punktach przedsiębiorstwa na giełdzie. Przypuszcza się, że część inwestorów kupiła akcje „Wólcanki” w celach spekulacyjnych, aby szybko pomnożyć pieniądze. I to zachwiałoby notowaniami. Według prezesa R. Polańskiego posiadanie dużych pakietów przez banki może wpływać stabilizująco na wrotny obrót. Już dziś natomiast wiadomo, że dla wytrwałych inwestorów cierpliwie czekających na jeszcze większy rozwój firmy, przedsiębiorstwo wypracowuje roczną dywidendę. Jeszcze jest za wcześnie, by określić jej wysokość, ale dobrze świadczy to o zarządzaniu, gdy jest nadzieja na dywidendę.

Giełda rządzi się własnymi prawami i jak widać na przykładzie łódzkiej fabryki, dobry standing nie zawsze idzie w parze z dobrymi notowaniami giełdowymi. Nie bez znaczenia jest tu także czynnik psychologiczny. „Wólcanka”, choć zakłady ma w większości poza Łodzią, kojarzona jest zapewne z całym tutejszym przemysłem. Upadek włókiennictwa i najwyższe bezrobocie nie zachęcają do inwestowania w akcje przedsiębiorstwa regionu łódzkiego. Rynek kapitałowy żyje własnym życiem i... nie odnotował zainteresowania „Wólcanką” wielkiej Margaret Thatcher.

Ewa Kafarska

Znajoma przypomniała mi, że jedną z kardynalnych zasad demokracji jest jawność życia publicznego. Przy okazji doszliśmy do wniosku, że dobrze byłoby, gdyby władze miasta od czasu do czasu rozliczały się przed społeczeństwem ze stanu kasy miejskiej.

Wiedziony ciekawością sięgnąłem do „Dziennika Zarządu m. Łodzi” z 1919 r. i tu już na wstępie znalazłem zdanie rozpoczynające to ze wszech miar pozytywne wydawnictwo: „Istotną podstawą ustroju demokratycznego, w pełnym tego słowa znaczeniu jest jawność. W ustroju takim jawność winna być cechą charakterystyczną wszelkiej instytucji”. Następnie autor, zarazem założyciel i pierwszy redaktor pisma, socjalistyczny prezydent miasta Aleksy Rzewski, rozwinął powyższą tezę: „Opinia społeczna musi być jak najściślej poinformowana o tym, co czynią różne urzędy z dobrem publicznym, bądź to materialnym, bądź moralnym (...). W myśl tej zasady pragniemy, aby praca naszej gospodarki miejskiej znalazła ściśle i dokładnie odzwierciedlenie, aby opinia publiczna wiedziała dobrze jak wydatkowane są kredyty miejskie”.

Publikowano w tym periodyku protokoły posiedzeń Magistratu i sesji Rady Miejskiej, ze szczególnym uwzględnieniem uchwał, w tym również podejmowanych poza zwykłym porządkiem dziennym. Integralną częścią sprawozdań Magistratu

Zwierciadło jawności

były szczegółowe rozliczenia wpływów i wydatków kasy miejskiej. Zasada jawności objęto nie tylko zmiany kadrowe urzędników miejskich, ale nawet ich uposażenia, każda próba utajniania danych wywoływała krytykę ze strony radnych i prasy. Posiedzenia Rady Miejskiej odbywały się wieczorem, zwykle od 19 do 21, by nie odrywać uczestników od pracy zawodowej. Nikt nie myślał wówczas o dietach i szczególnych ulgach ze strony pracodawców. Może ze względu na późną porę uchwały podejmowano sprawnie, bez popisów oratorskich, cechujących niektóre wystąpienia naszych wyciecznych i rzeźkich mandatariuszy zaufania społecznego.

Podczas posiedzeń Rady Miejskiej wielokrotnie podkreślano krytyczny stan finansowy miasta i zabieg prezydenta i jego zastępców u władz centralnych w zakresie poprawy kondycji stale dyskryminowanego przez Warszawę miasta.

Redaktorami pisma byli po Rzewskim: Marian Nusbaum-Ołtaszewski, Bolesław Dudziński, Ma-

rian Tarłowski, ponownie Dudziński, Jan Barczewski, Władysław Jaworski, sekretarz osobisty Komisarza Rządowego m. Łodzi (od 1 VIII 1933 r.), Eugeniusz Ajnenkiel, Stanisław Rachalewski, Roman Furmański. Niektórzy z nich byli dziennikarzami z profesji, wszyscy realizowali zadania Oddziału Prasowego Magistratu.

Ostatni numer pisma ukazał się z datą 15 lipca 1939 r. (już jako miesięcznik) i zawierał m.in. sprawozdanie finansowe i wnioski z realizacji budżetu Zarządu Miejskiego. W numerze znalazło się też sprawozdanie z manifestacji patriotycznej z okazji 529 rocznicy bitwy pod Grunwaldem. Zgromadzone na placu Wolności wielotysięczne tłumy łódzian powtarzały rotę przysięgi: „W świętą rocznicę Grunwaldu, w obliczu Boga ślubujemy w obronie ojczyzny poświęcić życie i mienie (...) Na każdy zew Wodza Naczelnego staniami zwarci aż do ostatniej kropli krwi. Tak nam dopomóż Bóg!”

„Dziennik Zarządu m. Łodzi” z okresu międzywojennego zawiera „olbrzymi materiał historyczny

do badań nad dziejami administracji naszego miasta”, jak stwierdził po sześciu latach Eugeniusz Ajnenkiel, wiceprezydent miasta Łodzi, w słowie wstępnym do wznowionego 15 lipca 1945 r. „Dziennika Zarządu Miejskiego Łodzi”. Wkrótce okazało się jednak, że w kraju tzw. demokracji ludowej zabrakło miejsca na jawność życia publicznego, zaś żywo redagowane pismo przekształcono na suchy zbiór postanowień władz municypalnych, zbliżony w swojej formie do podobnych produktów wysażanych przez administrację rosyjską i pruską. Pismo przemianowano na „Dziennik Urzędowy Zarządu Miejskiego w Łodzi”, następnie na „Dziennik Urzędowy m. Łodzi” (do 1 VI 1950 r.). Periodyk stał się potem „Dziennikiem Urzędowym Rady Narodowej”, wreszcie od 1984 r. ukazuje się jako „Dziennik Urzędowy Województwa Łódzkiego” i zawiera jedynie treść podejmowanych uchwał.

Warto może wrócić do dwudziestoletniej tradycji jawności, jaką dostrzegali Aleksy Rzewski i powołać do życia pismo, z którego łódzianie mogliby się dowiedzieć o stanie budżetu miasta i zasadności wydatków ze szczerzej, jak ongiś, kasy miejskiej.

Andrzej Kempa

Każde starsze pokolenie zadaje sobie pytanie, jaka jest współczesna młodzież. No właśnie: jaka jest?

Na początku października br. uczniom klas maturalnych dwóch łódzkich liceów ogólnokształcących dałam do wypełnienia ankiety (Zgodnie z warunkiem postawionym przez młodzież nie podaję nazw szkół). Ankiety były anonimowe. Czas ich wypełniania trwał 30 minut. Od chwili rozdania ankiet uczniowie nie kontaktowali się ze sobą. Postawione pytania brzmiały:

1. W jakim wieku rozpoczęłaś współżycie seksualne?

2. Co sądzisz na temat wczesnego rozpoczęcia współżycia seksualnego?

3. Co sądzisz na temat tzw. „wolnej miłości”?

4. Jakie jest Twoje zdanie na temat zbroczeń seksualnych?

I oto okazuje się, że jedna czwarta ankietowanych rozpoczęła współżycie w wieku 17-18 lat. Reszta – a więc przeważająca większość – jeszcze nie rozpoczęła. Żadna z ankietowanych osób nie przyznała się do zaznania smaku miłości fizycznej przed 17 rokiem życia. Mimo to jest zdania, że wiek nie powinien stanowić przeszkody dla dwojga kochających się ludzi.

Dziewczyna, która swoje pierwsze doświadczenie erotyczne zdobyła w wieku 17 lat pisze: „Uważam, że każdy może rozpocząć współżycie, kiedy jest do tego przygotowany. Wiek nie gra roli”.

Kilkoro uczniów podkreślało, iż decyzja o podjęciu współżycia powinna wypływać z... potrzeb fizycznych. Jedna z osób argumentowała to następująco: „Jeśli ktoś ma potrzebę fizyczną, to dlaczego nie? Jeśli nie ma, to powinien poczekać”. Inna podkreślała siłę popędu seksualnego: „Czasami jest to nam potrzebne, popęd jest silniejszy od nas. Sądzę, że wówczas nie ma i nie powinno być przeszkód. Bez sensu jest czekanie”.

Powyższe wypowiedzi zdaje się uzupełniać trzecia. Jej autorka na całej stronie formatu A4 udowadnia, że „(...) jeżeli człowiek będzie powstrzymywał swoje popędy na długi okres czasu, to odbije się to niekorzystnie na jego zdrowiu”.

Wiele osób podkreślało, iż do decyzji o podjęciu współżycia powinno się dorosnąć. Owo „dorosnięcie” polega według nich na zdobyciu wiedzy na temat środków antykoncepcyjnych. Typowy pod tym względem jest taki pogląd: „Jeżeli współżycie jest związane z głębokim i szczerym uczuciem oraz przywiązaniem się dwojga osób do siebie, to można rozpocząć współżycie. Jednak należy zachować wszelkie środki ostrożności po to, by uniknąć niepożądanego ciąży”.

Inni pod słowem „dorosnięcie” rozumieją uznanie obu partnerów, że ich miłość duchowa jest tak głęboka, iż musi zostać spełniona. „Jeśli chłopak i dziewczyna – oboje uważają, że współżycie jest nieodzowne dla ich związku uczuciowego, jeśli oboje dorosli do tej decyzji, to przeszkadzanie im w tym jest złem” – udowadnia jedna z ankietowanych.

Na tle tych wszystkich wypowiedzi bardzo ciekawa jest opinia dziewczyny, która deklaruje się jako katoliczka: „Uważam, że wczesne współżycie – jeśli się je rozpoczyna – powinno być z odpowiedzialnym, starszym mężczyzną, takim, który nie zostawi kobiety w potrzebie”. Również interesująca jest inna wypowiedź: „Współżycie seksualne p o w i n n o (!) rozpocząć się z chwilą dojrzałości fizycznej” (!).

Ci, którzy uważają że muszą istnieć bariery wiekowe „w tych sprawach” – najczęściej proponują wiek... 15 lat. Tylko nieliczni wymieniają 18 lat, lub obniżają poprzeczkę do... 13, a nawet 12!

... Gdybym miała być Matką-Polką lub dziwką, wybrałabym życie dziwki...

... Homoseksualista – tak, gwałciciel – nie...

Przeciwnicy wczesnego współżycia wysuwają „tradycyjne” argumenty: „Ludzie młodzi często mało wiedzą na temat miłości i seksu”, lub: „Młodzież nie jest odpowiednio do współżycia przygotowana”. Dziewczyna, która od 17 roku życia nie jest dziewicą pisze: „Uważam, że wczesne rozpoczęcie współżycia seksualnego źle wpływa przede wszystkim na psychikę dziewcząt. Poza tym dziewczęta, które rozpoczynają wczesne współżycie nie są z reguły dostatecznie uświadomione i dlatego często widzimy młode dziewczyny w ciąży”.

Podobnego zdania jest jej koleżanka (również nie-dziewica od 17 roku życia): „Wczesne rozpoczęcie współżycia seksualnego wpływa niekorzystnie na młodzież”. Czyżby pisały na podstawie własnych doświadczeń?...

Wiele zainteresowania wywołało wśród młodzieży pytanie: Co sądzisz na temat tzw. „wolnej miłości”? Oto ponad połowa ankietowanych napisała w odpowiedzi całe wypracowanie. Autorką najciekawszego jest dziewczyna, deklarująca się jako dziewica: „(...) Jestem przeciwniczką wolnej miłości, ale przyrzekam sobie, że jeśli zostanie w naszym kraju wprowadzony zakaz rozwodów, skrobanek i używania środków antykoncepcyjnych, to będę uprawiała wolną miłość w ramach protestu przeciwko ingerencji państwa w moje życie osobiste. Nie, nie jestem stuknięta. Wiem, co piszę. Być

ste innych ludzi – pisza 3 kolejne – ani forma miłości jaką uprawiają”. „To nic złego. Jeśli obie strony zgadzają się na taki stan rzeczy, to czemu nie?” – zadaje retoryczne pytanie 18-latk, która od roku nie żyje w celibacie.

Zdecydowanych zwolenników i obrońców wolnej miłości jest niewielu. Jeden z nich pisze: „Jest to coś (wolna miłość – przyp. M.G.) bardzo fajnego i potrzebnego. Czemu od razu trzeba się z kimś wiązać węzłem małżeńskim (tak uważają konserwatyści). Lepsza atmosfera panuje w takich związkach, można się lepiej poznać i dograć (...)”. Inny zwolennik wolnej miłości jest podobnego zdania: „Wydać mi się – pisze – że wolna miłość w wielu przypadkach jest trafniejszym związkiem od związku małżeńskiego. Poza tym w wielu sytuacjach np. przy rozstaniu się partnerów jest to sprawa mniej skomplikowana niż w związku małżeńskim”.

18-latk, która nie rozpoczęła jeszcze współżycia pisze: „Zgadzam się z tym, aby prowadzić życie seksualne przed ślubem. Nie żyjemy w średniowieczu”. Jej koleżanka jest odmiennego zdania: „Dzisiejsza Polska to średniowiecze. Chyba XIX wiek był bardziej postępowy. Dlatego, chociaż w głębi duszy popieram wolną miłość, to jednak nigdy nie odważyłabym się ją uprawiać. Podziwiam tych, którzy się na to zdobywają”.

Kilka osób pokusiło się o dokonanie charakterystyki psychologicznej osób uprawiających wolną

miłość” (np. sadysta z masochistą), natomiast wykazują brak zrozumienia i tolerancji, a nawet domagają się wysokich kar dla gwałcicieli, osób dopuszczających się stosunków kazirodczych, amatorów dzieci itp. Typowe pod tym względem są następujące wypowiedzi: „Uważam, że pedał czy lesbijka to także człowiek, którego nie wolno uważać za odmieńca, czy zbrodnicę. Są to normalni ludzie!” „Każdy człowiek ma prawo wyboru. Jeżeli mężczyzna wybiera mężczyznę, to widocznie dlatego, że jest mu lepiej z nim i sprawia mu to przyjemność”. „Uważam, że wybór partnera zależy od nas samych, naszych potrzeb i upodobań”. Jedną z dziewcząt próbuje swoje stanowisko uzasadnić: „Ludzie, którzy są zbrodnicami seksualnymi, też są ludźmi. Trochę innymi niż wszyscy ludzie tzw. normalni, ale ludźmi. Denerwuje mnie to, że społeczeństwo izoluje wszystkich „innych”, szydzi z nich, gardzi nimi (...). Znam osobiście homoseksualistę. Jest on wspaniałym człowiekiem, o wiele wspanialszym niż niektórzy „normalni” ludzie. Ale boi się świata normalnego, czuje się w nim obcy, niepotrzebny, zagubiony. Nie powinno tak być! Nie powinniśmy ich odrzucać!”

Brak tolerancji wobec gwałcicieli jest podyktowany strachem przed wzrastającą przestępczością. Takie wypowiedzi jak poniższe pojawiają się w każdej ankiecie: „Uważam, że należy tepić zbrodniców gwałcących kobiety i dzieci”, „Rozstrze-

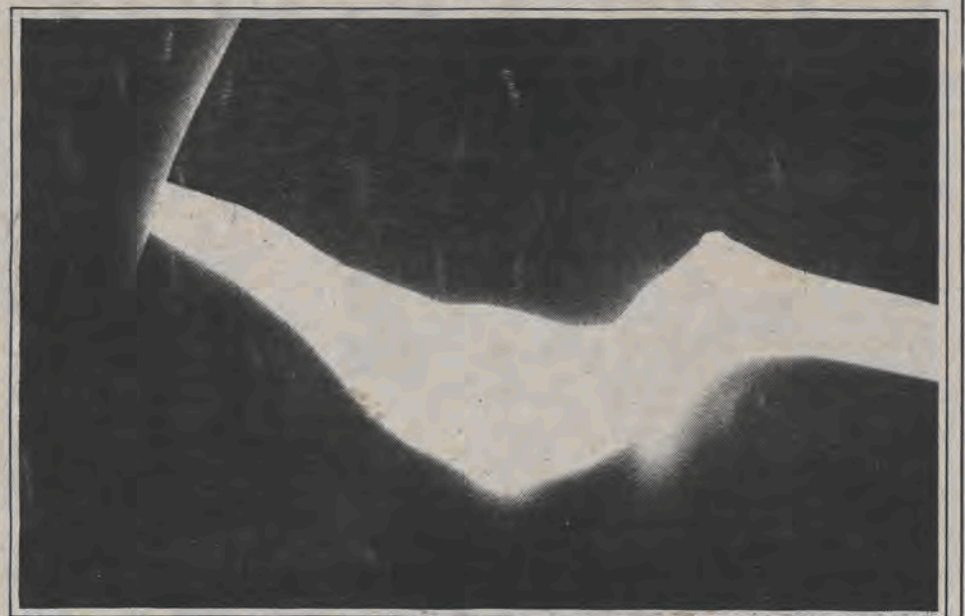
Licealna seksmoralność

przeciwym czegoś, co może się robić lub nie – to WOLNOŚĆ, lecz być przeciwym czegoś, co i tak jest zabronione to już NIEWOLA. Skoro nie mogę być wolna w swoim własnym kraju, to chcę chociaż być WOLNA PRZED SOBĄ. To poczucie wolności i możliwości wyboru ma dla mnie ogromne znaczenie”.

Odpowiedź innej dziewczyny utrzymana jest w podobnym tonie: „(...) W Polsce kobieta zamężna to zazwyczaj umęczona, zaniehbana, matka-Polka. Kobieta, która hołduje wolnej miłości, to w wyobraźni przeciętnego Polaka – dziwka, a dziwki są zwykle bogate, zadbane, atrakcyjne. No więc, gdybym miała do wyboru być matką-Polką lub dziwką, i żadnej innej alternatywy by nie było – to wybrałabym życie dziwki”.

Kolejna wypowiedź zdaje się stanowić komentarz do dwóch poprzednich: „Akceptuję wolną miłość jako bunt przeciwko utartej obyczajowości, ale nie akceptuję, jako formy wyładowania seksualnego”. Zdecydowana przeciwniczka wolnej miłości zdaje się rozumieć autora poprzedniej wypowiedzi: „Wolna miłość budzi we mnie wstręt” – pisze. „To coś obrzydliwego. Takie wyładowanie seksualne bez miłości, uczucia, przypomina parzenie się psów na trawniku”.

Okazuje się jednak, że tylko ona jedna zdecydowanie potępia wolną miłość. Jej koledzy (choć nie zawsze popierają to zjawisko) to jednak zawsze wykazują wiele tolerancji dla jego zwolenników. „Moim zdaniem jest to wyłącznie prywatna sprawa osoby, która tę miłość uprawia. Mnie osobiście to nie przeszkadza” – pisze dziewczyna, która sama nie poznała jeszcze smaku miłości fizycznej. „Nie mam nic przeciwko temu” – napisały zgodnie cztery osoby. „Nie obchodzi mnie życie osobi-



miłość. Oto najbardziej interesujące wypowiedzi:

1. „Zastanawiam się co powoduje, że ludzie decydują się na uprawianie wolnej miłości. Czy strach przed założeniem rodziny, odpowiedzialnością, rodzicielstwem? Przecież małżeństwo nie musi mieć dzieci. A może strach przed utratą wolności, uzależnienie od drugiego człowieka?”

2. „Moim zdaniem wolna miłość nie jest wystarczająca, aby ludzie mogli czuć się szczęśliwi. Moim zdaniem można żyć, mieszkać bez ślubu, gdy ludzie się kochają, jednak gdy współżycją tylko dla przyjemności, bez żadnego kontaktu duchowego, to taki związek nie jest wiele warty”.

3. „Ludzie, albo nie wiedzą co robią decydując się na taki krok, albo nie zależy im na bogactwie odczuć i świadomie oddają się postępującemu zezwierzęczeniu”.

Choć wiele jest wypowiedzi osób dojrzałych życiowo, to jednak większość autorów nie grzeszy dojrzałością moralną. Świadczą o tym poniższe fragmenty wypracowań: „Wolną miłość uprawiają ludzie o dużych potrzebach seksualnych. Uważam, że jeśli człowiek ma duże potrzeby w tym zakresie, to jest usprawiedliwiony”.

Innej dziewczynie moralność zastępują nakazy i zakazy obyczajowe, które najwyraźniej przyjmuje bez żadnego zrozumienia. Na zadane sobie pytanie, czy akceptuje wolną miłość odpowiada: „Dorywcze i sportowe stosunki – po pierwsze są niebezpieczne, po drugie – jak to wygląda?” Podobnie myślących osób jest procentowo niewiele (ok. 2%), jednak ich wypowiedzi są charakterystyczne i chwilami zaskakujące: „Jak to wytłumaczyć rodzicom, znajomym, sąsiadom? – pyta 18-latk na koniec długich rozważań czy lepsza jest wolna miłość, czy trwały i poświęcony przez kościół związek małżeński. Zwyciężyło małżeństwo. Przeważają argumenty: co powiedzą sąsiedzi?”

Cała ta różnorodność postaw przestaje być tak bardzo zróżnicowana przy ostatnim pytaniu: **Jakie jest Twoje zdanie na temat zbroczeń seksualnych?** Okazuje się, że wszyscy jak jeden mąż wykazują daleko idącą tolerancję dla homoseksualistów, bądź uzupełniających się tzw. „par zbroczo-

wałabym wszystkich gwałcicieli”, „Powinna być kara śmierci dla osób gwałcących i mordujących dzieci”.

Mimo iż młodzież wykazuje daleko idącą tolerancję wobec homoseksualistów, to jednak często pada ofiarą mitu o chorobie będącej przyczyną homoseksualizmu. Pewna dziewczyna pisze: „Homoseksualizm czy lesbijstwo to choroba, nie wiem, czy można ją wyleczyć”. „Odmienne upodobania seksualne są spowodowane chorobą. Nie wolno potępiać ludzi chorych za ich chorobę” – udowadnia inna dziewczyna.

Tylko dwie wypowiedzi świadczyły o braku tolerancji ich autorów w stosunku do homoseksualistów. Oto one: „Mnie osobiście zbrocenia seksualne przerażają. Nie wyobrażam sobie świata, gdzie ludzie zaakceptowaliby pary homoseksualne. Moim zdaniem takich ludzi powinno się leczyć, odizolować i to z różnych powodów. Osobiście brzydzę się homoseksualistami, lesbijkami”. „Zbrocenia seksualne są różne. Jednak dla mnie jest to sprawa dosyć odpychająca. Uważam to za zjawisko nienormalne i absolutnie tego nie popieram”.

Jedną z młodych autorek okazała się indywidualistka: „Dla mnie zbrocenie seksualne – pisze – to zaspokajanie własnych potrzeb seksualnych przez siebie. Wszystkie inne upodobania w tym zakresie uważam za normalne”.

I tak mamy pełny obraz seksmoralności współczesnej polskiej młodzieży.

Ksiądz katecheta prowadzący lekcje religii z ankietowaną młodzieżą, nie jest zadowolony ze swoich uczniów: – To bardzo smutne, ale oni nie zgadzają się z kościołem w wielu punktach na temat moralności – mówi. – Są wrogo nastawieni do projektu ustawy o zakazie aborcji, nie dają się przekonać. Takie są nie tylko moje spostrzeżenia, lecz również innych katechetów, z którymi rozmawiałem. Trzeba będzie włożyć dużo pracy i wysiłku w ich wychowanie i zmianę ich świadomości...

Magdalena Grochowalska

CONFEXIM MARKET spółka z o.o.

Szanując przyzwyczajenia, nie tracąc jednak z oczu mody światowej i zapotrzebowania rynku, stawiamy do dyspozycji Szanownych Klientów:

- hurtownię
- szeroki wybór atrakcyjnej odzieży importowanej,
- dom handlowy,
- usługi importowe,
- skład celny.

Posiadamy najlepszą obsługę, wyposażenie techniczne najbardziej znanych firm światowych, towar odpowiadający cenie pod względem jakości i rodzaju oraz możliwości finansowych kupujących.

Nasz adres:

Dom Handlowy „TEOFIL”
Łódź, ul. Aleksandrowska 38
sprzedaż detaliczna, usługi importowe
tel.52-71-60, 52-71-65, fax 55-71-39, tlx 88-51-62

BAZA MAGAZYNOWA I SKŁAD CELNY, HURTOWNIA
Łódź, ul. Brukowa 8, tel. 51-55-16, magazyn nr 5

**PRZYJDŹ, ZOBACZ, KUP! POLEĆ NAS SWOIM ZNAJOMYM!
ZAPRASZAMY**

Ryzyko to jest właśnie to, co zawsze najbardziej go podniecało. Wtedy, gdy jeszcze się wspinał i później, gdy zaczął już robić interesy. Miał wówczas 15, może 16 lat. Przrzekł sobie, że gdy skończy 17 kupi pierwszy samochód i słowa dotrzymał.

Jeszcze tego samego dnia wychodził z banku z pieniędzmi.

Najpierw były to jakieś geszefty, handel walutą, złotem, telewizorami, które kupował w Warszawie i sprzedawał na Górnym. To było dobre na początek, ale jemu chodziło o solidny biznes, który dawałby grubą forszę. „Pieniądze szczęścia nie dają, ale dzięki nim można dorobić sobie do niego klucze”.

Biznes to mógł być tylko handel. Szybko kupić i sprzedać, oczywiście z dużym zyskiem. Z nowym Rokiem Pańskim 1989 pomyślał o interesie meblowym. Któregoś ze znajomych przesłał mu faksy z ofertami szwedzkiej firmy Ikea. Poszedł z nimi do banku i jeszcze tego samego dnia wyszedł z niego z pieniędzmi.

Szedł zawsze prosto do dyrektora

Wszyscy, którzy choć raz ubiegali się o kredyt zgodnie twierdzą, że jest to istna droga przez mękę. „Bo nie wiedzą po prostu, jak się do tego zabrać – mówi Marek – zaczynają od urzędnika, który umie, jeśli w ogóle cokolwiek potrafi załatwić, tylko sprawy banalne, a trzeba iść do dyrektora”. „Poza tym duży kredyt wziąć łatwiej, bo czyż nie biorą go ludzie obracający dużymi pieniędzmi?”

Do dyrektora nie wejdziesz sobie ot tak z ulicy, bo wtedy on odesła cię do urzędnika. Nie wejdziesz w swetrze, bo potraktuje cię niepoważnie. Takie są reguły. A samochód, którym do tego banku pojedziesz, musi być zachodni.

Marek zawsze miał słabość do „przyzwoitego” ubrania i luksusowych samochodów. Lubi szybkie wozy, jeździ ostro i pewnie, bo „trzeba być pewnym siebie we wszystkim co się robi i wiedzieć czego się od życia chce”. On zawsze chciał przede wszystkim mieć, i to więcej niż przeciętny człowiek. „Mieć aby być”.

Wiedział czego chce

Kiedy rozmawiał z dyrektorem banku w Górze św. Małgorzaty był nienagannie ubrany i dobrze wiedział czego chce. Dostał swoje 80 mln za poręczeniem trzech żyrantów. Pieniądze te miały „zrobić” mu ten meblowy interes. Gdy okazało się, że jest ich za mało zwrócił się o kredyt do banku w Strykowie. Dyrektor okazał się przychylny dynamicznemu, inteligentnemu 19-letniemu biznesmeniowi i zadowolając się dowodem rejestracyjnym samochodu marki Renault wypłacił mu 110 mln. Za to można już było kupić Audi 80 Tresler i bywać w odpowiednich miejscach i w odpowiednim towarzystwie. „A o miejsce nie jest łatwo – mówi Marek – właściwie jedynym odpowiednim jest warszawski „Marriott”.

Następny bank – po tylu miesiącach już tego dokładnie nie pamięta – to były chyba Poddebice. Może to właśnie tu wyciągnął w gabinecie dyrek-

Marek oszukiwał dyrektorów banków, jakby to byli ludzie wyjątkowo naiwni

tora pistolet, który przystawił sobie do skroni. To był oczywiście żart. „Pomyślisz pewnie, że tylko szczeniaki mógł sobie na to pozwolić?” Nie wiadomo, co pomyślał dyrektor. Dość, że Marek wyszedł z banku z 200 mln zostawiając na dziedzińcu bankowym luksusowego Audi Tresler.

Był wiarygodnym klientem

Po niewypale z meblami miał na oku interes z jajkami. To miał być naprawdę dobry interes. 200 zł na jajku, 40 tys. jajek w kontenerze, około 20 kontenerów tygodniowo. „Czysty zysk – wspomina Marek – tylko że przepisy się zmieniły. Załatwienie zezwolenia w ministerstwie miało trwać 2 miesiące. Umowa z niemieckim kontrahentem została zerwana i trzeba było ponieść pewne koszty”. A w Strykowie, gdzie zdażył oddać pierwszy kredyt był już wiarygodnym klientem, któremu pod zastaw dowodu rejestracyjnego można było dać 150 mln.

Później były jeszcze banki w Kutnie i Łowiczu

(razem około 240 mln) i nowiutki sportowy Mercedes SLCE 24. Spryciarz, który mu sprzedał to auto naciął go na 95 mln. Gdy doбили targu poprosił, aby Marek pożyczyc mu samochód jeszcze na chwilę. Facet wydał mu się uczciwy, zostawił nawet połowę pieniędzy. A potem nagle przysnął. Kiedy Marek wyjdzie z więzienia odnajdzie go, chce mu spojrzeć w oczy i powiedzieć „stary, dobrze to zrobiłeś”.

Działal perswazją

W gruncie rzeczy każdego człowieka można przekonać do wszystkiego – twierdzi Marek – jeśli się wie, jak to zrobić należy. Kwestia techniki i siły perswazji”.

W Pabianicach, gdzie zwrócił się o 150 mln dyrektor nie dał jednak wiary słowom młodego handlowca. Sprawdził w urzędzie komunikacji oba dawane pod zastaw samochody, a ponieważ Mercedes miał fałszywe papiery nie udzielił mu kredytu.

W tym czasie wieści o młodym biznesmenie zaczęły się rozchodzić między bankami i kiedy Marek zjawił się w Piotrkowie, dyrektor polecił powiadomić policję. Nie było jednak powodów do zatrzymania, dowód rejestracyjny, który przedstawił Marek był legalny.

Po tym zdarzeniu próbował jeszcze w drugim banku, niestety dyrektor nie miał pieniędzy, za to przejął się naprawdę po ojcowsku, zadzwonił do kolegi w Belchatowie. W rezultacie przyznano Markowi 120 mln, po które pojechał do Warszawy. Później zrezygnował jednak z brania kredytów i zaczął pożyczyc od firm i osób prywatnych.

Zgubiła go lekkomyślność

Wyjechał też z Łodzi z damą swego serca i kilkumiesięcznym synkiem. Musiał trochę odpocząć i pomyśleć o interesach, miały terminy spłat i banki zaczęły wpaść w popłoch. Od matki wiedział już, że ma się zgłosić na policję – jak twierdzi – zamierzał to nawet uczynić.

Z pensjonatu nie wrócił jednak do Łodzi. Poznał nową dziewczynę i wyjechał z nią do Poznania. Czuli, że ryzykuje, gdy Dorota dzwoniła do domu. Rodzice poprosili policję o pomoc w jej odnalezieniu. Jeden z policjantów, którzy zjawili się w hotelu rozpoznał go z listu gończego. „To była lekkomyślność. W życiu osobistym zawsze byłem lekkomyślny, ale nigdy w interesach”.

Kiedy wyjdzie z więzienia weźmie się za biznes

W areszcie jest spokojny i na luzie. Czas spędzony w więzieniu postanowił wykorzystać na dokształcanie. Najważniejsze to nie wypaść z kursu. Gdy wyjdzie z więzienia weźmie się za biznes, ma już na to parę pomysłów. To będzie duży interes, bo jeśli coś robić to tylko na dużą skalę.

Dyrektorom banków drżały ręce

Będzie również walczył o syna. On jest teraz najważniejszy. Dobrze wie, co dla chłopca oznacza brak prawdziwego ojca. Jego rodzice rozwiedli się, teraz ojciec przysłał mu do więzienia paczkę. Nie ma żalu, choć może życie potoczyłoby się inaczej.

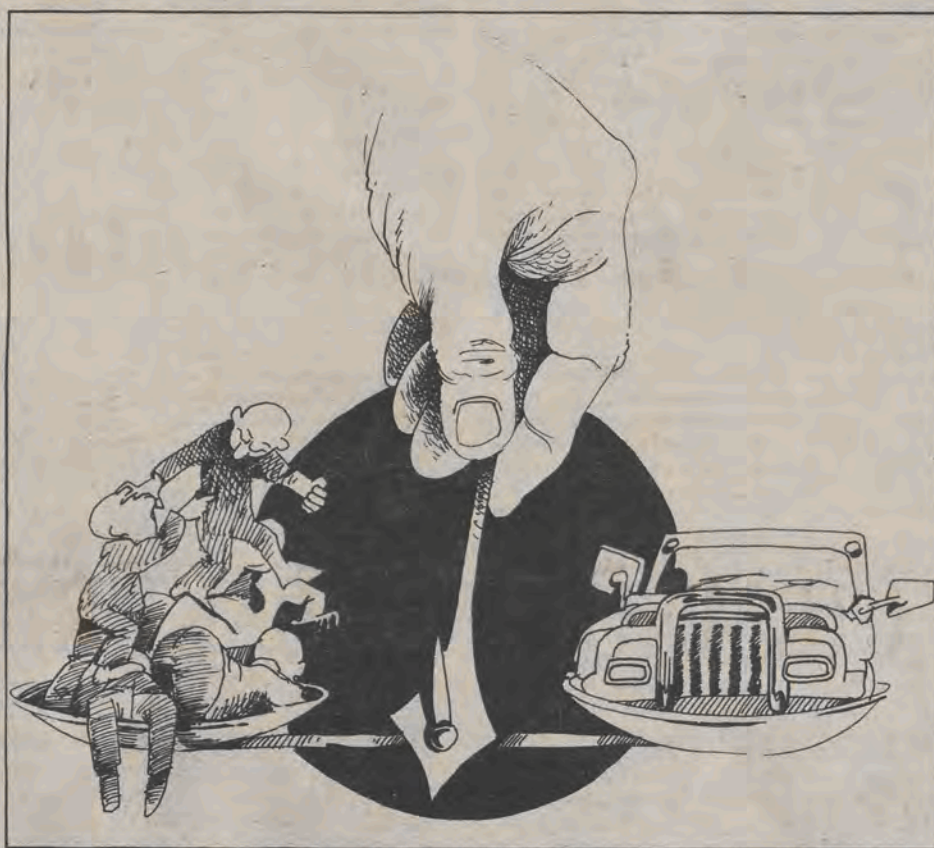
Małkowi chce zapewnić w życiu komfort. „Inaczej bowiem patrzy się na podłogę, gdy się na niej leży, a już zupełnie inaczej, gdy chociażby się na niej siedzi”. Ma także pomysły na jego wychowanie, chce aby był „zdrowym egoistą – dbał przede wszystkim o siebie, ale nie krzywdził innych”.

Zarzuty o przywłaszczenie około miliarda złotych są jego zdaniem „totalnym nieporozumieniem”. Od każdego wyroku będzie się odwoływał.

Jeśli czegokolwiek czuje się winny to tylko tego, że przez niego być może niektórzy nie dostaną kredytów, by rozwinąć swój biznes i stracą przez to swą życiową szansę. „Już wtedy, gdy prosiłem o kredyt dyrektorom banków drżały ręce i nerwowo spoglądali na telefon, jakby oczekiwali dyrektyw”.

Beata Kostrzewska

Klucze do szczęścia



Rys.: D. Romanowicz

Padli ofiarą zbrodniczej, małomiasteczkowej obyczajowości

W ygląda na 40 lat, ale ma dopiero 33. Tęga, skromnie ubrana, w „rozciapczanych” butach. Włosy krótko obcięte z resztkami trwałej ondulacji. Na grzywce i skroniach pierwsze siwe włosy. Pod oczami tzw. „kurze łapki” – pierwsza oznaka starzenia się. – Chce opowiedzieć o swoim życiu – mówi. – Nie dlatego, że było ciekawe, ale dlatego, że odbija się w nim cała obyczajowość naszego kraju, cała zbrodnicza obyczajowość, która niszczy jednostki „inne”, nie podporządkowane żadnym stereotypom, szablonom...

Wyszła za mąż w wieku 20 lat. Ani z miłości, ani z rozsądku. Po prostu jej koleżanki wychodziły za mąż, a ona bała się samotności i staropaniństwa. Jej mąż był o 3 lata starszy. Wszystko odbyło się tak, jak nakazują małomiasteczkowe przesady: mąż starszy od żony, w rok po ślubie dziecko...

Jej życie było szablonowe i nie dostarczyło sąsiadom żadnych atrakcji, przynajmniej na początku. Jej mąż nie był może najlepszym człowiekiem pod słońcem, ale nie pił, przynosił całą pensję do domu, pomagał w pracach domowych. Ona zajmowała się dzieckiem, prała, sprzątała, gotowała. Wydawało jej się, że jest szczęśliwa. Dlaczego „wydawało się?” – Bo tak naprawdę to ona zawsze marzyła o dalekich podróżach, wielkiej miłości, ale zdawała sobie sprawę z tego, że te marzenia są nierealne. Realne mogło być tylko zwyczajne życie wypełnione pracami domowymi, u boku wyrozumiałego męża. No więc, gdy zaczęło jej się wydawać, że jest szczęśliwa, jak grom z jasnego nieba spadła na nią straszna wiadomość: jej syn nie stydzi i nie będzie mówić. Jest głuchoniemy! Pierwszą noc przeplakała. Mąż ją pocieszał: Nie płacz, płaczem nic nie zmienisz. Dziękujmy Bogu, że jest tylko głuchoniemy, a nie debil jakiś, z wodogłowiem, albo co... Są specjalne szkoły dla głuchoniemych, wycuchają go zawodu, może nawet skończy studia...

Otrząsnęła się. Przeszła płakać. Oswoiła się z myślą, że jej syn nigdy nie powie do niej mamoo... Znow wszystko było tak, jak dawniej. Do czasu. Któregoś dnia przez przypadek podслуchała rozmowę męża z sąsiadem. – Dlaczego nie chcesz iść na piwo? Żony się boisz? – pytał sąsiad.

– Muszę jej pomóc w domu.
– Głupis. Co ty baba jesteś, że babką robotę chcesz robić?
– Innym razem pójdę. Teraz nie mogę.
– Jak chcesz... Zobacysz, że kiedyś będziesz załatwa. Zrobi ciębie pantoflarza i ani się obejrzyysz, jak się wszyscy z ciębie będą śmiali.

Od tej rozmowy coraz rzadziej pomagał jej w domu. Coraz częściej przebywał poza domem. Gdy go kiedyś poprosiła, żeby odkurzył pokój, bo ją boli krzyż, odparł: – Zrobisz to jutro. Ja i tak dużo robię w domu. Żaden chłop tyle nie robi. Wszyscy się ze mnie śmieją, że jestem pantoflarzem. Mam tego dość!

Nie prosiła go więcej. Zrobiła tak jak mówił. Odkurzyła następnego dnia. Sama. Z czasem wszystkie domowe obowiązki spadły na jej głowę. On przychodził z pracy, zjadał obiad, siadał przed telewizorem, albo czy-

tał gazetę, a ona pracowała od rana do wieczora. Wzięła chałupnictwo, żeby podreperować domowy budżet. Wieczorem była tak zmęczona, że zasypiała na siedząco. Z czasem zaczęło między nimi dochodzić do konfliktów. Mąż zarzucał jej, że nie spełnia obowiązków małżeńskich, że ciągle wymawia się bólem głowy, zmęczeniem. Ona mówiła:

– Pomóż mi zająć się domem, to nie będę zmęczona. On owszem – pomógłby, ale co będzie, jeśli go sąsiedzi podpatrzy jak zmywa naczynia?

Sąsiedzi, znajomi – jak to w małym miasteczku – żyli sprawami innych. Gdy więc po pijanemu wygadał się kiedyś, że ich małżeństwo nie jest już takie jakie powinno być, rozpętała się istna lawina plotek i domysłów. Kiedyś w sklepie podsłuchiwała, jak jedna znajoma mówiła do drugiej o jej mężu:

– Święty człowiek. Siedzi z nią nie wiadomo po co. Do siebie go nie dopuszcza, babką robotę każe mu robić. Co go z nią trzyma? Młody jest. Rozwiódłby się, ożenił z inną, przynajmniej zdrowe i normalne dziecko by mu urodziła.

Nie chciał rozwodu. Przynajmniej na początku. Z czasem jednak stawał się coraz bardziej podatny na sugestie i namowy otoczenia.

Jej najbliższa przyjaciółka próbowała jej pomóc. – Ludzie są podli – mówiła. – Nie patrz na nic, ratuj swoje małżeństwo, zadbaj o siebie, oddaj dzieciaka do jakiegoś zakładu. Są przecież jakieś zakłady dla głuchoniemych. Możesz go przecież od czasu do czasu odwiedzać...

Nie dała jej skończyć. Nie chciała dłużej słuchać. Wybiegła bez słowa...

Tymczasem jej mąż coraz częściej spędzał wolny czas w towarzystwie kolegów. Za ich pośrednictwem poznał Barbarę. Była ładna, zadbana, miła. W niczym nie przypominała zaniedbanej, przemęczonej żony. Była co prawda starsza od niego o 3 lata, ale wyglądała młodo, pachniała dobrymi perfumami, często się śmiała. Barbara uważana była za starą pannę.

– Studiów jej się zachciało w mieście – mówiły sąsiedki. – No i co teraz ma z tych studiów? Co jej po dyplomie, jak jest starą panną?

Matka Barbary nie mogła dłużej znieść tych dogadywań.

– Zakręć się – mówiła do córki – za jakim chłopcem. Brzydsze od ciebie mężów złapały, a ty nie możesz? Najpiękniejsze lata zmarnowałaś na uczelni.

Wtedy właśnie poznała jego. Co z tego, że żonaty – myślała. – I tak mu się z żoną nie układa, więc jakby co – to się rozwiedzie i ożeni ze mną. Nie pomyliła się. „Jakby co” nadeszło bardzo szybko. Ich krótki romans zakończył się ciążą Barbary, a następnie rozwodem jego i ponownym ślubem z kochanką.

Moja rozmówczyni nie wini o nic ani swego byłego męża, ani jego obecnej żony.

– Wszyscy oni padli ofiarą zbrodniczej, małomiasteczkowej obyczajowości – mówi. – Całym naszym życiem – moim i ich – rządziły prawa oparte o mity, przesady. Mit o staropaniństwie, o „babskich” pracach, o tym, że mężczyzna gotujący, czy sprząający to zniewieściał pantoflarz... Żyliśmy według szablonu. Co gorsza – nie mieliśmy wyboru. Musieliśmy tak żyć, bo każda próba wyrwania się ze schematu, kończyła się odrzuceniem przez społeczeństwo.

Po rozwodzie przeniosła się do Łodzi. – W dużym mieście ludzie są bardziej tolerancyjni i postępowi – mówi. Czy naprawdę?

Magdalena Grochowalska

Według szablonu

Wojownik

Czy na przystanku tramwajowym można przeżyć katharsis? Można, jeżeli pozostanie się otwartym na drugiego człowieka. Nie dalej jak wczoraj, gdym stał w smętnym oczekiwaniu na jedenastkę zobaczyłem GO. Ten sam co przed laty, a inny.

A poznałem go jako modelowy okaz nieroba. Sprawiał wrażenie jakby miał osiem rąk do pracy. A każda lewa. No, taki lewostronny Buddha. Czego się nie podjął, kończyło się klęską. Jeżeli dodam, że charakter miał swarliwy, a wygląd ponury, że do pracy spóźniał się codziennie i codziennie wychodził wcześniej... Dość, że pewnego dnia, jako jego chlebobdawca, okazałem litość i zwolniłem go. Nie tyle zwolniłem go z pracy, ile okazałem litość umęczonej liście płac.

No tak, ale to było wiele lat temu. A teraz? Może nie był taki ostatni?

Nie uniknął spotkania, nawet przeciwnie. Podszedł do mnie, klepnął przyjaźnie po ramieniu i powiedział:

– Pamięta pan jakim ja byłem pracownikiem? Straszny. Ale inaczej nie mogłem. System był taki, że musiałem. To nie było fume. To był zaciekle bój. Te bumelki, te fuchy – to były formy bezpardonowej walki.

– A teraz? – nie dowierzałem własnym uszom.

– A teraz to ja idę do sądu. Jakaś nagroda za lata walki chyba mi się należy? Pana – dodał – powołam na świadka.

I wsiadł do tramwaju. A ja zrezygnowałem. Jeżeli nie ma się pewności, co aktualnie kombinuje motorniczy – lepiej iść pieszo.

Jerzy Hutek

Pożegnanie giganta

Miles
nie żyje

28 września dotarła do nas wiadomość, która wstrząsnęła wszystkimi miłośnikami jazzu – Miles Davis nie żyje!

Odszedł jeden z najwybitniejszych artystów XX wieku. Największy z żyjących muzyków jazzowych. Mimo że od wielu lat chorował na cukrzycę i cierpiał na dolegliwości sercowe – nikt nie spodziewał się, że odejdzie tak szybko. Zmarł w szpitalu w Santa Monica w Kalifornii z powodu ataku serca. Jego miesieczny pobyt w szpitalu utrzymywany był w tajemnicy. Żył 65 lat.

Dla mnie i dla zwolenników jego talentu był największym nowatorem w historii jazzu. Właśnie on przed Coltrane'm, Parkerem, Ellingtonem i Armstrongiem. Na scenie jazzowej dominował do końca lat 40. Po dzień dzisiejszy tworzył zawsze nowe wartości w jazzie, które natychmiast stawały się drogowskazami dla innych. Co najmniej trzy razy wytyczał na nowo bieg historii jazzu – z Capitol Orchestra w roku 1949, grupami hard-bopowymi drugiej połowy lat 50 oraz płytą „Bitches Brew” w roku 1970. Cool, jazz „modalny”, jazz elektryczny – to kierunki, których prekursorem był Davis. Był twórcą własnego, oryginalnego stylu. Nigdy nie grał „pod kogoś”, to inni grali „pod Davisa”. Dźwięk, który wypracował był najbardziej oryginalny i charakterystyczny w historii jazzu. Jego trąbka była rozpoznawalna od pierwszych dźwięków. Grało z nim wielu znakomych muzyków, którzy potem stali się liderami własnych zespołów. Herbie Hancock, Wayne Shorter, Chick Corea, Joe Zawinul, Tony Williams, John McLaughlin, Dave Holland, Ron Carter, Jack de Johnette to kilku najwybitniejszych muzyków, którzy wyszli ze szkoły Davisa.

Miles Dewey Davis III urodził się w Alton, w stanie Illinois, 26 maja 1926 roku, w dobrej sytuacji rodzinie murzyńskiego lekarza stomatologa. Pierwszą trąbkę otrzymał od ojca w wieku 13 lat. Zadebiutował jako solista szkolnej orkiestry, a wkrótce zaczął grać w profesjonalnym big bandzie Eddie Randhalla w rodzinnym St. Louis. W 1944 r. przybył do Nowego Jorku, by studio-



Foto: Wiktor Sawiuk

wać w Juilliard School of Music. Jednak po kilku miesiącach rzucił studia i rozpoczął współpracę z twórcą stylu bebop, pierwszym wielkim improwizatorem, saksofonistą – Charlie Parkerem. Współpracował z nim od listopada 1945 r. – z przerwami – do kwietnia 1953 r. Był to początek jazzu nowoczesnego. To Parker zachęcił Davisa, by szukał własnego stylu. W drugiej połowie 1948 r. odrzucił propozycję Duke'a Ellingtona i nie przyłączył się do jego orkiestry. Nawiązał współpracę z pianistą i aranżerem Gilem Evansem.

W 1949 r. wspólnie z orkiestrą wytwórni CAPITOL nagrali płytę „BIRTH OF THE COOL”, która zapoczątkowała nowy nurt w jazzie – cool. Cool to gra chłodna, oszczędna, przeciwieństwo bebopu – gry spontanicznej i żywiołowej. Najbardziej celnie określił to sam Davis: „Nie trzeba grać wszystkimi akordami, wystarczy najlepszymi.” Lata 50, to okres kwartetów, a później słynnych kwintetów Davisa. W 1959 r. w sekteście wraz z Johnem Coltrane'm, „Cannon Ball” Adderley'em, Billem Evansem, Paulem Cham-

KULTURA

bersem i Jimmy Cobbem nagral jedną ze swoich najwybitniejszych płyt „KIND OF BLUE”, która była początkiem jazzu „modalnego”.

Równoległe w roku 1957 dochodzi do powtórnego spotkania Davisa i Evansa, a efektem ich współpracy były cztery znakomite płyty: „MILES AHEAD”, „PORGY AND BESS”, „SKETCHES OF SPAIN” i „QUIET NIGHTS”!

Po „KIND OF BLUE” w zespole Davisa pojawiło się nowe pokolenie niezwykle utalentowanych muzyków. W 1963 r. powstał słynny kwintet z pianistą Herbie Hancockiem, basistą Ronem Carterem, perkusistą Tony Williamsem oraz saksofonistą George'm Colemanem, którego w 1964 r. zastąpił Wayne Shorter. Był to najdłuższej istniejący zespół Davisa (1963-1968), który zamknął „akustyczny” okres jego twórczości.

Z płyt, które powstały w tym składzie na szczególną uwagę zasługują: „SEVEN STEPS TO HEAVEN”, „FOUR”, „MY FUNNY VALENTINE”, „MILES SMILES”, „NEFERTITI” oraz „MILES DAVIS QUINTET AT PLUGGED NICKEL”.

Kolejny zwrot stylistyczny uczynił Davis na przełomie 1969/70 kierując swój drogowskaz w kierunku jazzu elektrycznego. Zebrał najzdolniejszych młodych muzyków, odrzucił tradycję, kazał muzykom zmienić instrumenty akustyczne na elektryczne – tak powstał album „BITCHES BREW”, który wstrząsnął światem jazzu. Konserwatywni krytycy zaczęli wytykać Davisowi zainteresowanie muzyką rockową i odejście od czystego jazzu. Była to muzyka o bardzo ostrym, zelektryfikowanym brzmieniu, głośna, oparta na funkowych rytmach. W jego zespołach pojawili się wtedy m.in.: Chick Corea, Keith Jarrett, Dave Holland, Joe Zawinul, Billy Cobham, John McLaughlin, którzy po pewnym czasie stali się liderami swoich własnych grup: WEATHER REPORT, MAHAVISHNU ORCHESTRA, RETURN TO FOREVER. Davis został wtedy wielką gwiazdą porównywalną do idoli muzyki pop czy rock. Etap ten zamknęły koncertowe płyty: „AGHARTA” i „PANGEA”. Po nagraniu ich Davis nie nagrywał i nie występował przez kolejnych sześć lat. Pauza ta spowodowana była prawdopodobnie kryzysem wywołanym chorobą po wypadku samochodowym.

W 1981 r. ukazała się płyta „THE MAN WITH THE HORN” nagrana przez nowy zespół Davisa, który zaprezentował się po raz pierwszy 5 lipca na „Cool Jazz Festivalu” w Nowym Jorku. Na tej i na następnych płytach Davis ukazuje swoje nowe oblicze.

Gra teraz muzykę, która jest syntezą jazzu i rocka, połączeniem tradycji z nowoczesnością. Później w jego nagraniach wyraźnie słychać wpływ muzyki rockowej, a sam Miles coraz chętniej sięgał po tematy z muzyki pop. Jego ostatnie płyty wywoływały różne komentarze, częściowo nieprzychylnie, sugerujące, że Davis „skończył się”. Najciekawsze płyty nagrane w tym okresie to: koncertowy album „WE WANT MILES”, „STAR PEOPLE” oraz „AURA”. Mimo że ostatnie jego płyty nie były już tak nowatorskie, to wszyscy czekali na nowe nagrania Davisa. Planował nagranie płyty z najciekawszymi wykonawcami muzyki rockowej – Prince'em i Stingiem. Współpraca tej trójki mogła dać zaskakujące efekty. Niestety – jak wiemy – do tego nie dojdzie.

Jeszcze podczas tegorocznych wakacji przebywał w Europie. Największym wydarzeniem 25 Montreaux Jazz Festiwalu był koncert poświęcony oamie Gila Evansa. 8 lipca orkiestra George'a Gruntza pod dyktando Quincy Jonesa, z solistą Milesem Davisem przypominała utwory z okresu współpracy Davisa z Evansem. 16 lipca odbyła się w Paryżu uroczystość udekorowania Davisa Czerwoną Wstęgą Legii Honorowej. Davis był we Francji bardzo ceniony i popularny. Tu w 1957 r. stworzył niezwykle sugestywną muzykę do debiutu filmowego Louisa Malle „Winda na szafot”.

Miles Davis dwukrotnie odwiedził Polskę, jako gość festiwalu Jazz Jamboree. W 1983 r. dał prawie dwugodzinny recital z trzema bisami. Było to największe wydarzenie, jakie miało miejsce w historii festiwalu Jazz Jamboree. Nasz czołowy polski jazzman Wojciech Karolak opisał to tak: „Sala Kongresowa stała się na chwilę najważniejszym miejscem na ziemi. Nigdy dotąd nikt tak nie grał i nikt tak nie słuchał w tym miejscu”. 5 lat później na Jazz Jamboree '88 przyjechał po raz drugi, z nowym zespołem składającym się z bardzo młodych muzyków. Davis był w znakomitej formie instrumentalnej oraz fizycznej. Ten koncert był również znakomity. Oprócz kompozycji własnych zaprezentował swoje wersje utworów z repertuaru Michaela Jacksona, Cyndii Lauper, Prince'a i grupy Scritti Politti.

W życiu prywatnym i na scenie był ekscentrykiem, trochę dziwakiem. Lecz swoją muzyką ostarczył nam wiele niezapomnianych przeżyć. Powiedział: „Chcę, by nie zapomniano o mnie gdy umrę”.

Nie zapomnimy!

Andrzej Woszczyk

„IDĄ CZASY CIEMNOTY I OBSKURANTYZMU...”

Z reżyserem Teatru Studyjnego w Łodzi – Piotrem-Bogusławem Jędrzejczakiem – rozmawia Andrzej Musiał.

– Jakie premiery przygotowujesz dla łódzkich teatrów?

– Pierwsza to „Niejaki Piórko” Henry Michaux. Rzecz w mojej adaptacji, w mojej reżyserii i z moją oprawą muzyczną – na Dużej Scenie Teatru Studyjnego. Premiera w listopadzie. Drugą ma być monodram na Scenie Kameralnej Teatru Powszechnego.

– A poza Łodzią?

– Być może w styczniu będę realizował krótki film dla Telewizji Warszawskiej. Jestem umówiony z dyrektorem Teatru w Opolu na realizację tekstu Milana Kundery. Czesi mają wspaniały stosunek do własnej historii, tradycji i do samych siebie oraz cudowne poczucie humoru. Wreszcie – prawdopodobnie będę reżyserował operę „Madam Butterfly”. A jeśli przedsięwzięcie się powiedzie, jest szansa, że w innym teatrze operowym w Polsce ponownie tę inscenizację na początku przyszłego sezonu.

– Zwłaszcza teraz w dramatycznej dla teatrów chwili, absurdem byłoby produkcje chybione. Dlaczego np. sięgnąłś do Michaux?

– Kiedyś przyszedł do nas, do PWST w Krakowie, Jerzy Grzegorzewski i zaproponował, jako zajęcie seminarijne, jedną z wybranych powiastek właśnie z tomu „Niejaki Piórko” Michaux. Jest to nie tylko świetny tekst sceniczny, ale także bardzo mądry – przy całym poczuciu humoru autora i mniemanym albo też faktycznym nadrealizmie tej prozy (o to toczą się spory). Chcę nawiązać do WIELKIEGO REALIZMU tego autora odczytanego w kontekście naszej rzeczywistości. Naszej – tzn. obywateli rejonów środkowo-wschodnio-południowej Europy w ostatnich kilkudziesięciu latach. Chcę pójść tropem pewnej dwuznaczności. Dwuznaczność jest to hasło, które bardzo mnie fascynuje. Jest to stan wymykający się ostatecznemu zdefiniowaniu. Jest „antyideologiczny”. Zachęcające jest to, iż tekst, o którym mówię nie ucieka się do schematów z jakimi mamy zwykle do czynienia przy poruszaniu tzw. aktualnej problematyki w polskiej sztuce – obecnie.

– Jak plasuje się Teatr Studyjny w mozaice teatrów kraju? W jakimś sensie jest to przeciwieństwo. Sama jego studyjność...

– Właśnie. Ten teatr ma swoją szczególną publiczność. Przychodzi głównie młodzież akademicka i licealna. W zeszłym sezonie, na jedno z przedstawień wg Hrabala, przyjechała do Tea-

tru Studyjnego wycieczka młodzieży z Pojezierza Augustowskiego – specjalnie do tego teatru i specjalnie na to przedstawienie. Mało – poprosili zespół o pozostanie, żeby móc porozmawiać na temat obejrzanego spektaklu. Nie byli to ludzie przypadkowi. Teatr Studyjny to scena wyjątkowa – scena poszukująca a nie produkująca. Kryteria jakimi kieruje się dyrektor Andrzej Pawłowski są par excellence natury artystycznej, a nie komercyjnej. Przy całej paranoi jaka istnieje teraz wokół teatru, przy absurdalnych zarobkach – pracujemy z wielką przyjemnością, bo np. bez presji, że musi to być przedstawienie dochodowe, że mają przyjechać na nie łódzkie prządki lub inny wydumany widz. Oczywiście nie znaczy to, iż nie idzie mi o szeroką publiczność i pełną kasę.

– I tutaj z przyjemnością cytuję pewnego, ostatnio z rzadka cytowanego myśliciela. Karol Marks twierdził: „Pisarz musi oczywiście zarabiać, aby móc istnieć i pisać, ale w żadnym razie nie powinien istnieć i pisać po to aby zarabiać.” Rozciągają się te święte słowa na całą kulturę. Premier powinien zarządzać w Ministerstwie Kultury i Sztuki przyspieszony kurs myśli Karola M. – przynajmniej niektórych.

– Nie było słowa protestu ze strony MKiS w związku z obcięciem trzeciej części budżetu na kulturę. W ministerstwie panuje bałagan, jakiego nie można było chyba spotkać w żadnej instytucji za komunistów. Potrzebna jest dymisja złożona w telewizji przez dyrektora Teatru Słowackiego – Jerzego Golińskiego, by dla uruchomienia teatru znalazły się brakujące 4 mld zł. A wszystko to w sytuacji, gdy na gruntowny remont teatru z okazji KBWE – starym polskim zwyczajem: zastaw się – a postaw się – wydano 154 mld zł!!! Również dopiero wystąpienie w „Wiadomościach” Bradeckiego – dyrektora Teatru Starego, który miał pieniądze do końca września i wyglądało na to, że we wrześniu zamknie sezon – spowodowało, że odpowiednie władze podobno odblokowały pieniądze. Sytuacja jest chora na szczeblu urzędniczym, a dopiero w dalszej kolejności na szczeblu finansowym.

– Za przeproszeniem – Karol Marks powiedział: „ostatnią fazą danej formacji dziejowej jest komedia”. Być może znajdujemy się nie na początku, ale u schyłku jakiejś formacji...? Jak zatem ratować teatry? Czy może tak, jak w

Rampie u Strzeleckiego – uruchamiać w teatrach kina i organizować koncerty?

– Teatr musi dysponować odpowiednimi warunkami lokalowymi, poza tym uboczna działalność musi jakoś korespondować z charakterem teatru. Teatr o profilu rozrywkowym np. Rampa czy Syrena – może sobie pozwolić na podobne przedsięwzięcia. To, że teatry muszą zarabiać w jakiś nonsensowny sposób jest kretynstwem. W teatrze w Jeleniej Górze w czasie wojny podobno był burdel, a i w Szczecinie w tym okresie w którymś teatrze był burdel.

– Jakie przepisy najbardziej nekają teatry?

– Należy natychmiast anulować obciążenie teatrów popiwkiem oraz zmniejszenie sponсорowania kultury przez zakłady przemysłowe nakazujące odsyłanie pieniędzy do centralnego źródła. Stanisław Tym powiedział: „Znam wielu mężczyzn, którzy zrujnowali się na kobiety, nie znam żadnego, który zrujnował się na Ligę Kobiet”. Kto daje pieniądze, powinien wiedzieć, na co konkretnie się je przeznacza. Tak, jak przez 45 lat był wdrażany komunizm, tak teraz wdraża się kapitalizm. Wdraża się doktrynę, a nie system, który ma służyć ludziom.

– Nie wyobrażam sobie, żeby akurat w tej chwili miało sens wyzwalanie kultury spod mecenatu państwowego.

– Właśnie, żebyśmy się nagle, po uzyskaniu tej wymarzonej wolności nie obudzili z przesądzeniem, że za komunistów były cudowne czasy dla kultury, a nowa władza zniszczyła ten jedyny „toważ”, z którym mogliśmy się pokazać na całym świecie. Zwalczamy wszystko, co zostało po komunizmie. Ale czy czasem ogólny model mecenatu państwa wobec kultury nie został wówczas pomyślany dość rozsądnie? Nie mam na myśli kontroli kultury, cenzury czy tego, ile sztuk radzieckich miało być w repertuarze sezonu... Tadeusz Kantor – w jednym z ostatnich wywiadów powiedział mniej więcej tak: oglądam współczesnych polityków polskich, słucham tego, co dzieje się w Sejmie, o czym mówią ci wszyscy panowie, słucham tego bardzo uważnie i słowo Sztuka nie padło ani raz! Ani raz! ANI RAZ!!! Trzykrotnie Kantor to krzyknął... Sposób traktowania kultury wiąże się ściśle z ogólnymi tendencjami, jakie można obserwować w życiu umysłowym narodu. Idę ulicą i oglądam metrowej długości oświadczenie wydrukowane i nalepione – oświadczenie jawne rasistowskie, bo skierowane przeciwko



Żydom. Ja to widziałem w Łodzi, ja to widziałem w Gdańsku, Krakowie i w wielu innych miejscach. Jeśli pozwala się, by szkalowano ludzi w najperfidniejszy sposób, by antysemityzm był publicznie lansowany, to świadczy to o umysłowości tych, którzy do tego dopuszczają. Jeśli zaczniemy tępić Żydów, to za chwilę możemy zacząć niszczyć kulturę, palić książki na stosie – jak za Hitlera i obawiam się, że zestaw tytułów byłby bardzo podobny, może jedynie uzupełniony paroma nowościami. Poza tym – nieprawdą jest, że schlebienie najbardziej populistycznym gustom ludzkim – to jest demokracja. Demokracja powinna mieć charakter OŚWIECONY, bo inaczej mamy do czynienia z mentalnością i rządami motłochu, a nie z demokracją.

– Na kogo będziesz głosował w wyborach?

– Publicznie nie odpowiem. Do niedawna sytuacja w kraju była gorsza, a Tadeusz Mazowiecki – jako premier i ówczesny minister Izabella Cywińska – walczyli o pieniądze dla teatru. Było bardzo źle, ale nie było beznadziejnie. Teraz idą czasy ciemnoty i obskurantyzmu – twierdziłem rok temu i nie myliłem się.

– Dziękuję za rozmowę.

Lubię kolarzy...

16 października okazał się ważną datą dla łódzkich miłośników poezji, ponieważ tego dnia za sprawą Łódzkiego Domu Kultury i Jerzego Jarosławskiego gościliśmy jednego z najwybitniejszych przedstawicieli polskiej literatury – Jerzego Harasymowicza.

Przypomnijmy, że debiutował on w 1956 r. tomem wierszy pt. „Cuda”. Wydał do tej pory kilkadziesiąt książek poetyckich, a łączny ich nakład przekroczył milion egzemplarzy.

W nocy biograficznej do nowego tomiku pt. „Za co jutro kupimy chleb” czytamy: „Książki Harasymowicza ludzie kupowali, bo poezja jego przemawiała do nich bezpośrednio i emocjonalnie. Za to kawiarnie literackie Krakowa i Warszawy niezmiernie zwalczały Poetę. Nic dziwnego – był poetyckim „trampem”, najchętniej szukał natchnienia w Bieszczadach. Od półtora roku nie wydrukował ani jednego wiersza: został usunięty z radia i telewizji. Czuje się tak jak w latach 1951-1954, kiedy nie miał gdzie publikować i nie posiadał pary całych butów. Niniejsza książeczka „Za co jutro kupimy chleb” ukazuje się dzięki determinacji przyjaciół Poety.”

O popularności poety świadczyła wypełniona sala koncertowa ŁDK. Na wstępie obecni z przyjemnością wysłuchali piosenek w wykonaniu Elżbiety Adamiak, opartych na tekstach Harasymowicza. Po wieczorze autorskim przyszła kolej na pytania:

- Jak pan ocenia poezję K. Wojtyły?
- To naprawdę duża osobowość, człowiek wielkiego pokroju, myśliciel i filozof. A jego poezje – jak oceniam – średnia.
- Kogo pan ceni z łódzkich poetów?
- Ewę Filipczuk i Zdzisława Jaskułę.
- Dlaczego Jaskułę?
- Bo ma ładne nazwisko, takie kolarskie. A ja lubię kolarzy.
- Zajmuje się pan filozofią?

„Za co jutro kupimy chleb”



- Lubię poczytać.
- Jakiej jest pana zdanie na temat prozy?
- Nienawidzę prozy. Po co pisać sto, dwieście lub trzysta albo i więcej stron – skoro to samo można powiedzieć w jednej linijce wiersza. Proza to największa nuda.
- Czy są stałe elementy w pańskiej poezji?
- Natura. Poszukiwanie Boga, ale nie tego w kazalnicy, lecz tego, który znajduje się w przyrodzie.
- Co jest dla pana najważniejsze?
- Miłość, natura, żona, kobieta. Poeta powinien przez cały czas odkrywać to na nowo.
- Czym jest dla pana poszukiwanie formy?
- Jest to spontaniczne. Forma wynika z treści.
- Jak pan traktuje słowo poetyckie?
- Bardzo poważnie, tak jak ksiądz mszę w kościele albo w cerkwi.
- Czego pan nie lubi w literaturze?
- Polityczności. Do dzisiaj walczy się piórem z duchem komunizmu. Zresztą te utwory jak widać szybko się dezaktualizują. Nadają się jedynie na makulaturę. Np. poezja Jaskuły jest dziś nieczytelna.
- Których poetów z pańskiego pokolenia ceni pan najbardziej?
- Stanisława Grochowiaka i Mirona Białoszewskiego – którzy ciągle poszukiwali nowych środków wyrazu.
- Nie wymieniał pan Miłosa.
- Miłosz jest średnim poetą. Dlatego na literaturę polską jest tragiczny. Poeci zaczynają opowiadać nowele wierszem. W ten sposób się kończą. Zakładajstrowani słowami Miłosa nie mają swojego głosu.
- Co pan najbardziej lubi w poezji?
- Całkowite „odejście”, ale zarazem kontrolowane.
- Czego pan się obawia w przyszłości?
- Tak jak komunizm ustawił literaturę na baczność, tak teraz inkwizycja może ją ustawić w takiej samej pozycji.
- Czy tworząc odczuwa pan coś szczególnego?
- Kiedy piszę wiersz, staję się młodym. To jest tak, jakbym nigdy się nie starzał.

Andrzej Arczewski

Wiersze piękne

Nuchim Bomse

przełożył Czesław Miłosz

Modlitwa Mojej Matki Przed Zmrokiem

Niech Twoje światło, Panie, tylko dniowi
świeci
A tylko ciemność zachowaj dla nocy.
Niech moja suknia ubogiej kobiety
Spokojnie leży na ławeczce w nocy.

Niechaj w klasztorze umilkną już dzwony,
Mój sąsiad Iwan niech ich nie kołysze,
Niech nocny wiatr odejdzie w inne strony,
Żeby dzieciom w kołaskach było jak najciszej.

Niech kury śpią na grzędach, w stajniach konie
Pośrodku ciemnej nocy.
Kamień sprzed nogi złodziejowi odejm,
Żeby nie upadł idąc w ciemnej nocy.

Napelnij niebo w ciemnej nocy ciszą,
Błyskawice powściągnij, przytłum gromy.
Niechaj rodzaje matki ich nie słyszą.
Niech nikt nie będzie i w myśli skrzywdzony.

Uchroń od grozy ptaki w czas noclegu
Na wysokim drzewie w dzikim lesie.
I wód ryczących nie wypuszczaj z brzegów.
Niech rzeka w nocy kładek nie uniesie.

Mnie samą chroń od wody, błyskawicy,
Przeciw ogniom bądź mi ku pomocy,
Niech moja suknia ubogiej kobiety
Spokojnie leży na ławeczce w nocy.

Czytam ten wiersz, gdyż nie ma już takich wierszy.
Czytam, bo nikt nie powściągnie błyskawicy i nie przytłumi gromów.

Bo czas jest najmniej stosowny, ażeby spokojnie leżała na ławeczce suknia ubogiej kobiety. To w XVII wieku angielski poeta metafizyczny Thomas Traherne mógł wierzyć, że świat jest podarunkiem danym człowiekowi przez Boga i miejscem jego szczęśliwości.

„Niebo i Ziemia śpiewały na cześć mego Stwórcy i nie mogły dźwięcznie pięknie w uszach Adama niż moich. Czas wszelki był Wiecznością i Nieustannym Światłem”.

Takie wyznaczenie w schyłku XX wieku może być tylko bluźnierstwem, baśnią albo sennym marzeniem. A przecież Nuchim Bomse, żydowski tkacz i chałupnik w trzy wieki po Traherne'ym mówi: „Uchroń od grozy ptaki” i mówi: „Niech nikt nie będzie i w myśli skrzywdzony”

Więc czytam ten wiersz jak jakiś lepszy świat, więc go zjadam jak jakiś smaczniejszy chleb, więc czuję się nim obdarowany jak jakąś naprawdę miłością i zakryty nim jak tarczą.

Nieosiągalny dla –
rózgu urzędników Pana B.,
oczu nowych inkwizytorów,
ludzi z tej ziemi, którzy chcą nas dzielić na gospodarzy i gości.

Nieosiągalny dla –
pytań w miłości jak to robisz i
miary człowieka stanem konta bankowego.

Czytam ten wiersz również przeciwko sobie od poniedziałku do piątku, przeciw jakiejś machinie zaradności, skuteczności, sprytu, gdy nie ma już miejsca dla pytań najprostszymi i chwil bezinteresownych, żeby ot tak naturalnie pobyc z sobą.

„jest taka cierpienia granica.
Za którą się uśmiech pogody zaczyna”

pisal, być może ku pocieszeniu Czesław Miłosz.

Czytam ten wiersz, w sobotni wieczór, z jakąś rozpaczną nadzieją, że choćby jednej kładki nocą rzeka nie uniesie.

Wybór i komentarz:
Andrzej Babaryko

Widziane z parteru

Zachwyt, pokora, ale i lęk przed czymś wielkim, a nie pojmanym do końca, ogarnia mnie zawsze, gdy widzę, jak ludzie mądrzy i uczeni w piśmie potrafia zinterpretować rzeczy najprostsze, zdawałoby się nawet banalne. Ot, chociażby: jako dziecko poznałem bajkę o „Trzech świnkach”. I co? I nic! Przez „dzieci” lat nie przywiązywałem do tego żadnej wagi. Było tak do czasu, kiedy to przeczytałem opasłe, dwutomowe dzieło jednego z największych współczesnych psychologów Bruna Bettelheima. A stoi tam czarno na białym, że „schronienia budowane przez trzy świnki symbolizują rozwój, jaki przeszedł człowiek w historii. W planie wewnętrznym wydarzenia baśniowe ukazują rozwój osobowości od fazy zdominowanej przez „id” do fazy poddanej działaniu „superego”, w której jednak „ego” staje się główną instancją kontrolną. Nawet zupełnie małe dziecko zdaje się rozumieć, że trzy świnki to naprawdę jedna i ta sama świnka w różnych stadiach rozwojowych swego życia. Jeśli życie nasze kontynuuje się w wyższych formach naszej osobowości, jest to zgodne z porządkiem egzystencji.”

Przeczytawszy to zmartwiłem się. Musiałem być wyjątkowo tępym dzieckiem, gdyż zawsze sądziłem, iż świnki jednak były trzy. Co więcej, z wiekiem głupiej coraz bardziej i dziś – już nie z bajki o świnkach – nawet mniejsze liczby wprawiają mnie w kłopot, zakłócają „porządek

mojej egzystencji”. No, bo weźmy na przykład takich braci Kaczyńskich. Czy jest ich dwóch, czy też jeden i ten sam w różnych stadiach rozwoju? Który jest „id”, a który „ego”? Co jest dla nich „główną instancją kontrolną”? I gdzie, do cholery, podziało się to co miało być „super”?

Jasno więc z tego wynika, że obcowanie z głębią rozważań intelektualistów nas, szaraków może wpędzić w poważne kompleksy. Ale nie traćmy nadziei! Każdy może trafić na swoje „pięć minut”, kiedy to spostrzeże coś więcej, głębiej i

Kap, kap, kap...

dalej niż wyznaczała mu to dotychczasowa proza jego życia. Mnie przytrafiło się to kilka dni temu i to aż przez dwie godziny w trzech aktach. Siedzę sobie w Małej Sali Teatru Nowego i oglądam „Zbrodnie serca” Bethy Henley wyreżyserowane przez Adama Orzechowskiego. I nagle olśnienie (że też koło mnie siedzi Jurek Panasiewicz z „Expressu”, a nie profesor Bettelheim z University of Chicago) – przecież oglądam współczesną wersję bajki o „Trzech świnkach”!

Brak tylko prologu. „Były sobie siostry trzy i był los okrutnie żółty”. Wszystko inne zgadza się co do joty. Kibitki są trzy, wszystkie los doświadcza dość ciężko, różni je natomiast wiek,

temperament, charakter i postawa wobec rzeczywistości. I tak najmłodsza: Babe (Kata-rzyna Strojna) – bezbronna psychicznie, nie kontrolująca swych czysto biologicznych reakcji, utożsamiająca się dodatkowo z samobójczymi obsesjami matki, wiktła się w niewytłumaczalną racjonalnie próbę zabójstwa męża. Średnia: Meg (Danuta Rynkiewicz) – kobieta wyzwolona, człowiek czynu, w którym jednak użycie bierze górę nad refleksją, a nastawienie „brać” nie dopuszcza prawie możliwości, iż trzeba też coś „dać”. Efekt

taki, iż wszystkie plany życiowe Meg to jedno wielkie fiasko. Wreszcie trzecia, najstarsza: Lenny (Beata Kowalska) – cicha, zrównoważona, pragmatyczna aż do przesady, tłumiąca wszelkie spontaniczne odruchy i głęboko skrywająca (nawet przed samą sobą) pasję, marzenia i uniesienia. Wszystkie trzy spotykają się w kuchni amerykańskiego, prowincjonalnego domku i próbują wywinąć się dybiacemu na nie nieprzychylnemu losowi. Rzecz kończy się niczym (co jak na nasze czasy jest nadzwyczaj szczęśliwym rozwiązaniem) z lekkim wskazaniem na ewentualny sukces życiowy siostry najstarszej. Wszyciutko więc, jak we wspomnianej wcześniej bajce. Co

było do udowodnienia.

Zrodziły się u mnie jednak pewne wątpliwości. Beth Henley – jak sama znanie – napisała „Zbrodnie serca”, gdyż „dziadek zgubił się w lesie i nie było go przez dwa dni. Dziadek wreszcie się znalazł, ale sam fakt, że w obliczu tragedii cała rodzina się zebrała, skłonił mnie do myślenia.” Sztuka zrobiła niebywałą karierę w Ameryce. W 1982 otrzymała nagrodę Pulitzera i rewelacyjne recenzje. I coś mi tu nie gra.

Albo należy załować, że pani Henley zgubił się, a przede wszystkim znalazł, dziadek, zaś krytycy amerykańscy nie znają umiaru, pisząc o autorce: „to lżejszy Faulkner raczej, aniżeli rozwodniony Tennessee Williams.”

Albo też oglądamy całkiem inną, źle wyreżyserowaną i słabo zagraną sztukę.

I trzeba sobie jasno odpowiedzieć: czyje na wierzchu? Czy amerykańskiego mądrali, który w poważnym periodyku napisał: „Tak jak z kropli wody można się dowiedzieć wszystkiego o oceanie, tak jej sztuka mówi nam wiele o stanie w jakim znajduje się nasz świat, o ludzkim chaosie.” Czy też naszego reżysera, którego inscenizacji cały czas towarzyszy dyskretny szmer kropel ciurkiem lejących z nie-szczelnego kranu.

Jezus, Maria! To już nie ocean. To potop nudy zalewającej widza.

Jerzy Bąbel

Bethy Henley „Zbrodnie serca” reż. Adam Orzechowski, premiera Teatr Nowy, 11 października 1991.

Statek kosmiczny z napisem ZIEMIA porusza się w przestrzeni kosmicznej – jak na razie zupełnie samotnie. Nic nie wróży dziś, że pasażerowie tego statku w jakimś momencie będą mogli dokonać przesiadki na inny pusty statek, co uważam, przy obecnym rozwoju sytuacji, za jedyną możliwość przetrwania ludzkości przez kolejnych kilka, kilkanaście lub kilkadziesiąt tysięcy lat. Jestem bowiem przekonany, że nasz statek został zarejestrowany na pewną konkretną liczbę pasażerów, która – jak dotychczas – jest niemożliwa do wyliczenia dla futurologów. W związku z tą podstawową niewiadomą nie jesteśmy w stanie powiedzieć – jak długo jeszcze?

Futurologia, ogólnie biorąc, zawsze wpadała dotychczas w jakąś pułapkę, bowiem nikt nie jest w stanie przewidzieć wynalazków czy odkryć. Malthus głosząc, że ludzkość w krótkim czasie wymrze z głodu nie przewidział sztucznych nawozów, a futurologi francuscy, którzy pod koniec XIX stulecia obliczyli, że Paryż utonie w końskim łajnie, którego nie zdąży się wywozić, nie mogli wziąć pod uwagę samochodu – bo go jeszcze nie wynaleziono.

W moich rozważaniach tym różni się od Malthusa, iż zakładam, że to nie brak żywności załatwi problem gatunku. Najpierw wydusimy się własnym smrodem. W tym wypadku słowo „smród” należy traktować w sensie szerszym. Są to zarówno odpady radioaktywne jak katastrofy nuklearne wynikające z przypadków losowych, a raczej z zawodności naszej techniki, z jaką bierzemy się do zagospodarowania energii jądrowej. Ale to nie wszystko. Pestycydy, które jak dotychczas doprowadziły do nadwyżek żywności, z którą nie wiadomo co zrobić, są toksyczne. Freon, używany do naszych zabawek technicznych i kosmetycznych robi dziury ozonowe w atmosferze. Nasza ukończona zabawka – samochód, jeśli nic się nie zmieni, będzie nas niszczyć dalej na kilka sposobów. Nic nie wiemy o oddziaływaniu na organizm ludzki pola elektromagnetycznego o częstotliwości 50 Hz (w Ameryce 60 Hz, ale też nic nie wiemy). Sposoby można mnożyć.

Aktywność Zielonych, którą bardzo cenię, może jedynie przesunąć termin autoegzekucji. Rzecz w tym, że jak na razie postaraliśmy się poprzerywać pewne łańcuchy regulacyjne, które działały przez wieki. Niedługo, na przykład, byliśmy pośrednimi koprofagami. Krowa zżerając trawę wydalala niestrawione reszki, które były doskonałym nawozem na polach obsianych zbożem, stanowiącym nasze pożywienie. Dziś nadal stosujemy tę metodę, ale włączyliśmy dodatkowo chemię, której produkty przesiakają do wody i ją zatrują. Zamknięta dawnej pętla regulacyjna otworzyła się i... co dalej? Procentowa zawartość tlenu w powietrzu, od kiedy ludzkość nauczyła się ją mierzyć jest niezmienna: 20,7%. Świadczy to o jednym – że istnieją jakieś możliwości autoregulacyjne na naszym statku „ZIEMIA” odnawiające nam zapasy tlenu i utrzymujące jak dotąd w skali globalnej udział tego życiodajnego pierwiastka z zadziwiająco dokładnością, mimo wielokrotnie zwiększonego zapotrzebowania w ostatnim stuleciu. Nawet chyba domyśliamy się skąd się bierze to „doładowywanie” atmosfery tlenem do poziomu normalnego. Rzecz w tym, że nie spotkałem się nigdy z wyjaśnieniem co ogranicza ilość tlenu przed wzrostem ponad 20,7%. Wynika z tego, że regulacja ilości tlenu została ustawiona przed pokazaniem się na ziemi pierwszego przedstawiciela gatunku homo sapiens, ale nie wiadomo czy przewidziano nasze nieodpowiedzialne gry i zabawy. Dziś nikt tzw.

Przyszłość ludzkości nie jawi się zbyt różowo

rozsądny nie zrezygnuje z samochodu, oświetlonego elektrycznie i ogrzanego mieszkania, natomiast wręcz zabawowo traktuje ubywanie lasów w Amazonii, które przez naukowców uważane są obecnie za płuca ziemi. Żaden, nawet pijany marynarz na atomowej łodzi podwodnej mogącej przebywać w zanurzeniu przez kilka miesięcy nie popsuje świadomie urządzenia do regeneracji powietrza, zwłaszcza przebywając pod lodami Arktyki. Gatunkowi jako całości nie wystarczy, jak widać, wyborczy. Już wcześniej odniosłem się dość sceptycznie do działalności Zielonych. Ich program bowiem nie

ych na nim procesach pozwala na hipotezę, że zastosowano to ostatnie rozwiązanie. Byłoby ono raczej dość brutalne, ale wiele spraw na ZIEMI zostało rozwiązanych brutalnie – choćby sprawa wyżywienia. Każde stworzenie pożera coś żywego, a ofiary bardzo tego nie lubią i kryją się, uciekają lub walczą. Nawet roślinom nie jest to obojętne.

Sama ludzkość nie chce dążyć do świadomej regulacji liczby urodzin, raczej wygląda, że wręcz przeciwnie. Nieuregulowany żądniem wmontowanymi w nas hamulcami popęd płciowy powoduje

go go naczelnego gatunku. Może by było lepiej o tym nie myśleć, bowiem gatunek ten nie potrafi sobie poradzić w skali globalnej z żądnymi – nawet cząstkowymi problemami. Przykładem może być groźba głodu na Ukrainie, gdzie nieomal wsadzony w nie uprawioną glebę patyk pokryje się bujnym kwieciami. Po drugiej stronie oceanu też nie wygląda to zupełnie dobrze. Przykładem może być Manhattan, gdzie na maleńkiej wyspce zgromadzono największe skupisko ludności. Już dziś trudno tam wjechać naszą ulubioną zabawką – prywatnym samochodem, problem wywiezienia śmieci zaczyna być sprawą nie do rozwiązania. Straż pożarna czy wozy pogotowia stoją i ryczą nie mogąc przepchać się przez korki, a jednocześnie ciągle kupuje się stare – stosunkowo niskie –

O końcu świata – bez emocji



zakłada rzeczy najistotniejszej: mianowicie liczby pasażerów naszego statku. Przy największych bowiem restrykcjach dwóch ludzi nasmrodzi więcej niż jeden.

Zalóżmy teraz (i tego założenia jestem pełnym zwolennikiem) że nasza ZIEMIA została zaprojektowana przez najwyższy intelekt, który następnie wyewoluował gatunek, w jakimś sensie rozumny, dał mu wolną wolę i pozwolił rządzić na statku. Jeżeli nas nie opuścił i przygląda się naszym zabawom, z całą pewnością musi czuć się zaniepokojony. Zalóżmy, że zależy mu na zachowaniu gatunku. W tym przypadku widzę jedynie następujące możliwości:

Albo zesła na nas stan nadświadomości, który doprowadzi co najmniej większość przedstawicieli gatunku do wniosku, że nie ma takiego statku kosmicznego, który byłby zarejestrowany na nieograniczoną liczbę pasażerów.

Albo wprowadzi jakieś niekonwencjonalne rozwiązanie, które przy dzisiejszym stanie wiedzy nikomu nie przychodzi do głowy.

Albo już z góry wprowadził mechanizmy utrzymujące gatunek na pewnym poziomie liczebności, aby nie wyginął cały.

Dzisiejsza wiedza o naszym statku i zachodzą-

lawnowy wzrost pasażerów.

Tu mała dygresja. Każdy z tych pasażerów reprezentuje sobą jakiś układ energetyczny. Jeżeli uznać ZIEMIĘ za układ zamknięty, to nie bardzo widzę jak to pogodzić z przyjętym przez fizykę prawem zachowania energii. Chyba po prostu ZIEMIA nie jest układem zamkniętym.

Wróćmy jednak do rozwiązań regulacji liczby pasażerów. Przychodzi do głowy kilka sposobów: Pierwszy to wzrost agresji wewnątrzgatunkowej w miarę wzrostu tłoku w otaczającym nas areale. Ostatnie czasy i zdarzenia dość natarczywie przywodzą na myśl takie rozwiązania. Jak ziemia długa i szeroka wszędzie wybuchają jakieś konflikty, czasami zupełnie surrealistyczne. Podnoszą się szowinizmy i rasizmy. Pocięciem pewną jest, że zawsze to było, a nastąpił ogromny wzrost kosztów na jednego zamordowanego. Cesarz Francuzów prowadził znacznie tańsze rzezie niż dziś na przykład w Jugosławii.

Drugim rozwiązaniem jest wzrost chorób z nieprzystosowania. Każdy gatunek ma pewne możliwości przystosowawcze. Jeśli warunki, w jakich przyszło mu żyć przekracza próg przystosowalności – ginie, względnie giną osobniki, których indywidualny próg jest niższy. Taki mechanizm występuje w przyrodzie i jedynie nasza pycha może zakładać, że nie dotyczy to gatunku homo sapiens.

Kolejnym rozwiązaniem są zarazy. Ciekawe na przykład czy ludzkość poradzi sobie z AIDS.

Powiedzmy sobie jasno. To co jest dobre dla jednostki wcale nie musi być dobre dla gatunku. Dla jednostki najważniejsze jest: móc istnieć i mieć warunki do samorealizacji. Z tych praw i dążeń jednostki wynika walka z aborcją, obniżaniem śmiertelności wśród noworodków, które ratuje się w każdym przypadku i za każdą cenę. Śmierć dziecka jest tragedią dla niego jako jednostki i dla rodziny, która go traci. Dla społeczeństwa uratowanie niepełnosprawnego życia bywa często obciążeniem. Nie nawołuję tu do zmiany spojrzenia na te zagadnienia. Sam jestem zwolennikiem prawa jednostki do istnienia. Zwracam jednak uwagę na zagadnienie, bowiem ono istnieje jako fakt.

Znacznie gorzej rzecz się ma przy założeniu, że najwyższy intelekt uruchomił to wszystko i przestał się interesować, co się dzieje na peryferyjnej planecie w peryferyjnym układzie słonecznym, albo, że go w ogóle nie ma i teraz wszystkie procesy na naszym stateczku kosmicznym zależą jedynie od woli, emocji i intelektu zamieszkujące-

domy, aby na ich miejsce kropnąć kolejny wieżowiec.

Dziś w rozwoju świata można dostrzec coś w rodzaju problemu czarnych dziur, które w wszechświecie wciągają w siebie materię. Niedługo Niemcy marzyli o przestrzeni życiowej. Po drugiej wojnie światowej udało im się tak zorganizować swoje okrojone państwo, że ściąga doń hałastra z całego świata, z rejonów znacznie mniej zaludnionych i gorzej zorganizowanych. Zamiast organizować się u siebie, jednostka, korzystając ze swych praw woli się przesiadlić. Wizja rajy na ziemi jest bardzo silna i pociągająca. Pierwsze efekty już widzimy. Po prostu zaczynają bić obcych. Czy ten nieludzki proceder uda się powstrzymać – bardzo wątpliwe.

Zwiększenie tłoku wyzwała więc agresję w stosunku do grup obcych etnicznie. Nie można nie zauważyć, że tłok panujący dookoła zmniejsza możliwości samorealizacji jednostki, a więc ogranicza jej prawa. Wytlumienie niemieckich ekscesów dziś poprawi sytuację na jakiś czas, aby przy dalszym napływie ochotników do lepszej doli wybuchną znowu z jeszcze większą siłą.

Ten typ ruchliwości społecznej nie jest zresztą jedynym zagrożeniem. Wspomniany już wcześniej niedostatek wiedzy technicznej w dziedzinie użytkowania energii nuklearnej stanowi bardzo poważne zagrożenie. Takie elektrownie jak w Czarnobylu czy Kozłoduju – toż to brzytwy w rękę wariata. Dochodzą do tego kwestie arsenału nuklearnego i jego właścicieli. Coraz częściej zaczynają majstrować przy tym ludzie coraz mniej odpowiedzialni. Nie, wizja ludzkości pozostawionej samej sobie bez ręcznego sterowania najwyższego intelektu nie jest zachęcająca.

Z tego wszystkiego co napisałem wynika, że tak czy owak przyszłość ludzkości nie jawi się zbyt różowo.

Mam nadzieję, że gdzieś popełniam błąd, albo, że najwyższy intelekt pójdzie na jakieś rozwiązania niekonwencjonalne. Niemniej reprezentowana przez większość ludzi i organizacji społecznych niechęć do rozważenia naszej sytuacji w skali globalnej przy założeniu ograniczonych możliwości naszego pojazdu kosmicznego i jego załogi nie jest dla mnie zrozumiała. Myślenie nigdy nie zawadzi.

Andrzej Wilczkowski



Płoną książeczki wojskowe

Generałowie i dzieci nie bawcie się w wojnę!

Plac Zamkowy w Warszawie, sobota, 12 października, godz. 13.30. Młodzi gniewni z „Federacji Anarchistycznej”, organizacji „Wolność i Pokój” oraz „Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego” palą dokumenty wojskowe. Spalili w sumie trzy książeczki wojskowe i jedno wezwanie na komisję poborową. Do interwencji policji wystarczyło. Zatrzymano siłą 30 osób, które po przesłuchaniu na komisariacie zostały wypuszczone; wobec trzech skierowano wnioski do kolegów, z uzasadnieniem, iż brali oni udział w nielegalnej demonstracji i niszczyli państwowe dokumenty. (Grozi im za to do 3 lat więzienia)

Protestujący domagali się przestrzegania prawa do służby zastępczej, która ich zdaniem powinna przysługiwać każdemu. Sprzeciwiali się także nieludzkiemu traktowaniu młodych żołnierzy.

Fot: Michał Kołakowski



Część II.

W manifestach i "odezwach" wyborczych grupowań polskich, w ich programach wspólnym elementem było eksponowanie hasła niepodległościowych, wysunięcie na czoło postulatów i deklaracji walki o silne i zjednoczone państwo polskie. Prezentowano jednak różne drogi do tego celu, przy czym najbardziej wyraziste różnice widoczne były w platformach wyborczych skrajnych obozów politycznych.

W manifestach wyborczych PPS zapowiadano walkę o zjednoczenie wszystkich ziem polskich przy porozumieniu w sprawach terytorialnych z sąsiadami (Litwinami, Białorusinami, Ukraińcami), a w przyszłości federację z tymi niepodległymi państwami. Przedstawiano kształt ustroju Polski jako „Republiki Ludowej” z jednoizbowym parlamentem, głębokimi reformami społecznymi (upaństwowienie wielkiego przemysłu, banków, uspołecznienie gospodarki komunalnej), szerokim zakresem swobód obywatelskich i ubezpieczeń społecznych.

W programie Narodowego Komitetu Wyborczego zapewniano, że dzięki sojuszwowi z państwami zwycięskiej ententy nastąpi zjednoczenie ziem polskich z silną Rzeczpospolitą Polską. Podkreślano, iż zadaniem tego bloku wyborczego, będzie utworzenie w Sejmie takiej większości, która zagwarantuje zorganizowanie państwa na podstawach demokratycznych i reformy społeczno-gospodarcze „niezbędne dla stworzenia pomyślnych warunków bytu dla warstw ludowych” oraz „utrzymanie w kraju porządku i ładu”.

Trudno dziś ocenić na ile skuteczna była argumentacja programów. Warto tylko przypomnieć, że wśród ówczesnych wyborców znaczny odsetek stanowili niepiśmienni – spis przeprowadzony dwa lata później wykazał wśród mieszkańców Polski ok. 31 procent analfabetów. Do tej części elektoratu agitacja wyborcza zapewne docierała przede wszystkim za pośrednictwem słowa mówionego, znaków i symboli lub podobnych form przekazu.

Jak zauważył Maciej Rataj: „Punkt główny i bodajże jedyny, który obchodził i animował wyborców włościańskich, to było hasło reformy rolnej, nie w jakiejś formie sprzymierzonej, choćby zarysowanej w konturach, lecz jako „ziemia dla tych, którzy na niej pracują”. To wystarczało! O reszcie kandydat nie potrzebował myśleć i mówić, bo go o to nie pytano. Małą niesłychaną rolę w akcji wyborczej odgrywały (także w miastach) zagadnienia konstytucyjne, choć dane konstytucji państwu było pierwszym celem i zadaniem, dla którego miał się zebrać sejm. Wyborca wiejski kierował się wyczuwaniem, instynktem, komu można więcej osobiście zaufać, kto nie oszuka i „nie zaprzęda panom”. Dużo gwarancji pod tym względem dawał w pierwszym rzędzie swój – włościanin, zainteresowany pospół z innymi w przeprowadzeniu postulatów włościańskich i dlatego tych najchętniej stawiano na listach, potem inteligenci – chłopcy synowie”.

Inną ilustrację poziomu świadomości politycznej mieszkańców wsi podczas kampanii wyborczej przedstawił we wspomnieniach Zygmunt Zaremba, ówczesny młody działacz PPS, kandydat na posła na listach tej partii w okręgu Końskie-Skarżysko. Jak wspominał „... scena, którą przeżyłem w Opocznie z Błażem Stolarskim (działacz ruchu ludowego - P.S.) na wiecu urządzonym przez nasze partie zgłosiła całkowicie moją ochotę do zapasów wyborczych. Ulokowaliśmy się ze Stolarskim na furze należącej do członka „Wyzwolenia”. Stolarski w pięknej białej sukmanie obszytej czerwonymi tasiemkami, jak przystało chłopu spod Będkowa, gdzie zrodziła się powieść Reymonta, rozpoczął swe przemówienie. Otoczono nas zwartym kołem, w którym z radością dostrzegłem twarz Mietka, jeszcze z kół robotniczych młodzieży na Powązkach. Błaż

mówił spokojnie, rzeczowo o bojkocie rządu przez pracującą, o odbudowie Polski, o potrzebie poparcia dla tej odbudowy, a gdy poruszył sprawę sabotażu podatkowego z jakim się spotkał rząd, dodał, że chłopci nie odmawiają państwu podatków. Tu powstała niespodziewana burza. Na pobliski wóz wdrapał się wielki chłop, też w sukmanie, i zaczął krzyczeć:

– Słyszeliście, ludzie, co tu mówił ten pan, mamy płacić państwu podatki, już nie mamy pańszczyzny, a on jeszcze chce, żebyśmy płacili panom!...

Podniósł się rwetes niesłychany. Stolarski chciał wyjaśnić, że nie o to chodziło, ale widać przeciwnicy byli dostatecznie silni i zorganizowani, bo go zakrzyczeli”.

Pierwsze wolne wybory już w niedzielę (27.10.1991). A jak wyglądały pierwsze wolne wybory po odzyskaniu niepodległości przeprowadzone w styczniu 1919 roku?

„...bezrobotny poszedł radośnie głosować”

Także w miastach niejednemu z wyborców niewątpliwie gubił się wśród konkurujących ze sobą licznych list, nie potrafiąc samodzielnie dokonać wyboru w zbliżonym programach ugrupowań ukrywających się pod szyldami komitetów wyborczych.

Główna walka o głosy elektoratu polskiego toczyła się w miastach b. Królestwa Polskiego między obozem skupionym wokół Narodowego Komitetu Wyborczego i PPS, zaś na wsi między tymże blokiem pravicowym i ugrupowaniami lewicy (radyczny ruch ludowy, socjaliści).

Blok pravicowy uzyskał poparcie hierarchii Kościoła katolickiego. W końcu grudnia 1918 r. zostało ogłoszone orędzie pasterskie biskupów polskich. Odwołując ugrupowaniom lewicowym prawa do obrony interesów mas ludowych, wezwali oni wiernych do głosowania na takich kandydatów, którzy „wyznają Chrystusa w domu i w kościele”, co oznaczało jednoznacznie wskazanie na listy Narodowego Komitetu Wyborczego. Duchowieństwo świeckie i zakonne, oraz członkowie stowarzyszeń kościelnych prowadzili agitację wyborczą na rzecz tegoż bloku. Uprawiano ją w budynkach kościelnych i na zebraniach przedwyborczych, podjęła ją także prasa katolicka.

W tej agitacji wielką uwagę zwrócono na środowiska kobiet szczególnie podatne na oddziaływanie duchowieństwa. Także inne komitety wyborcze usilnie starały się pozyskać głosy kobiet dla swoich list kandydatów na posłów.

Kampania wyborcza wzmagała się wraz ze zbliżaniem daty wyborów. W ostatnim tygodniu w miastach, zwłaszcza tak wielkich jak Warszawa i Łódź, codziennie odbywały się liczne wiece w salach widowiskowych i innych lokalach publicznych.

W akcji wiecowej i plakatowej przodował aparat propagandowy bloku Narodowego Komitetu Wyborczego, i to nie tylko pod względem ilościowym. Jego agitatorzy, na przykład w Warszawie wspierani przez działaczy i sympatyków przybyłych z Wielkopolski oraz innych ośrodków, wykazywali się dobrą znajomością psychologii społecznej, umiejętnością dostosowania hasła i języka do poszczególnych środowisk. W

akcji wyborczej PPS w Łodzi uczestniczyli przywódcy tej partii – Bronisław Ziemięcki, Norbert Barlicki, Mieczysław Niedziałkowski.

W zaciętej agitacji wyborczej nie zabrakło demagogii. Nie przebiegano też w słowach, ani w środkach walcząc z konkurencyjnymi ugrupowaniami. Prasa lewicowa zarzucała obozowi prawy, że agitatorzy jego bloku rozbijali wiece konkurentów, niszczyli ich plakaty, a w Warszawie jakoby rozsiewali plotki, że ludzie biedni w nagrodę za oddanie głosu na listę Narodowego Komitetu Wyborczego otrzymają podwójną rację chleba na kartki. Kandydaci tego bloku ze sfer burżuazyjnych mieli też występować w przebraniu robotniczym na wiecach w środowiskach prole-

W trzy tygodnie później Naczelnik Państwa Józef Piłsudski tak mówił o tym doniosłym wydarzeniu w wywiadzie dla paryskiego dziennika „Le Matin”: „Zachwyca mnie szybkość, z jaką się tworzy i organizuje polityka tego kraju. Nie bacząc na ogólny zamęt, wybory mogły się odbyć w najzwyklejszym spokoju i otwarciu Zgromadzenia Ustawodawczego nie wywołało żadnego przesilenia.

Ten cud da się wytłumaczyć jedynie wniosłem nastrojem mas, wywołanym poczuciem wielkiego zwycięstwa narodowego, odniesionego nad odwiecznymi wrogami. Jeżeli bezrobotny o pustym żołądku i bosi poszedł radośnie głosować, znaczy to, że w nim jedna myśl góruje nad innymi: „Polska zmartwychwstała!”.

tariackich, nawołując słuchaczy do głosowania na wspomnianą listę.

Zygmunt Zaremba, kandydat z listy PPS, wspominał potem jak robotnicy podczas kampanii wyborczej w Skarżysku „przynieśli mi zerwany gdzieś z plotu afisz endecki, przedstawiający mnie w rosyjskiej koso-worojce (męska koszula - P.S.) z toporem zamachniętym, by zbурzyć krzyż. Na mój uśmiech zareagowali ostrzeżeniem, żeby tego nie lekceważył, bo to działa nie tylko na kobiety wiejskie, które pójdą do urny wyborczej z wiarą, że bronią krzyża przed zniszczeniem. Nie dodawało mi też otuchy zjawienie się jakichś pomyśleń, niby sympatyków partii, w rodzaju księdza z kościoła narodowego, który zapewniał o poparciu swoim i reprezentowanej przez niego setki wiernych, ale wymagał, żebym wyraźnie zaświadczył o kłamstwie zarzutów, iż PPS walczy z każdą religią Chrystusową”.

Także Maciej Rataj odnotował w swoim pamiętniku: „Pamiętam, iż najważniejszym atutem, który w akcji wyborczej moi przeciwnicy polityczni wygrali przeciw mnie, było to, iż jestem Galicjaninem i - bezbożnikiem (dlaczego specjalnie „bezbożnikiem” - do dziś nie wiem)”.

Agitacji całkowicie nie zaprzestano nawet w samym dniu wyborów, w niedzielę 26 stycznia 1919 r. Od rana w zimowej scenarii mieszkańcy Warszawy, Łodzi, innych miast i wsi podążali do urn wyborczych. W stolicy do udziału w głosowaniu nawoływali wiernych duchowni w kościołach. Działaczki Narodowego Komitetu Wyborczego organizowały grupy kobiet idących do urn wyborczych, rozdawały kartki z numerem listy tego bloku (nr 10).

Zainteresowanie społeczeństwa wyborami było dość duże, choć w poszczególnych okręgach na terenie b. Królestwa Polskiego frekwencja wyborcza była zróżnicowana, najniższy wskaźnik - 60 procent, najwyższy - 95 procent. W Warszawie uczestniczyło w wyborach 68,9 procent uprawnionych do głosowania, podczas gdy w Łodzi znacznie więcej - 79,5 procent. W b. Galicji Zachodniej (Małopolsce) frekwencja wyborcza obliczano na 70-86 procent.

Okrzyk ten jest teraz silniejszy od głodu i chłodu; wypełnia on obecnie serca wszystkich Polaków; może on doprowadzić ich do wszelkich poświęceń.”

Nie sprawdzili się przedwyborcze obawy przywódców obozu pravicowego. Wybory na obszarze b. Królestwa Polskiego przyniosły sukces Narodowej Demokracji i jej sojusznikom, bowiem na ich listy padło ponad 40 procent głosów. Na drugim miejscu znalazło się PSL „Wyzwolenie” - ponad 20 procent głosów, dalej żydowskie ugrupowania mieszczańskie (ponad 10 procent), oraz PPS (ok. 9 procent). W Małopolsce najwięcej głosów zdobyło PSL „Piast” - ponad 30 procent, na dalszych miejscach uplasowały się PSL-Lewica (ok. 20 procent), Polska Partia Socjalno-Demokratyczna (ok. 19 procent). Ogółem na całym obszarze, gdzie odbyły się wybory oboz pravicowy uzyskał ponad 40 procent głosów.

W Łodzi wyniki wyborów były odmienne. Najwięcej głosów padło na listę NZR (23 procent), dalej PPS (21 procent), natomiast Narodowy Komitet Wyborczy (Zjednoczenie Narodowe i chadecja) zdobył tylko 12 procent głosów. Na listy żydowskie łącznie oddano 29 procent głosów, najwięcej zdobyły ich ugrupowania nacjonalistyczne i ortodoksyjne, zaś niemiecki komitet wyborczy - 11 procent. O takich rezultatach wyborów w mieście zadecydowała przede wszystkim postawa robotników polskich, którzy głosowali na listy partii robotniczych (NZR, PPS) - razem 68 836 głosów, przy czym proletariats żydowski również oddał głosy na swoje partie (Bund i Poalej Syjon) - 12 941 głosów, co stanowiło łącznie 53 procent wszystkich ważnych głosów oddanych w wyborach w Łodzi.

Posłami z Łodzi zostali: Walenty Michalak, Ludwik Waszkiewicz i Jan Dąbrowski (NZR), Bronisław Ziemięcki i Aleksander Napiórkowski (PPS), Leopold Skulski (Zjednoczenie Narodowe), Antoni Harasz (ChD), Moszek Ela Halpern (Żydzi-Ortodoksi), Jerzy Rosenblatt (Syjoniści), Józef Spickerman (Zjednoczenie Niemców Wyborców).

Paweł Samuś

Kim był autor wspomnień z Kowla i Szepietówki?

Starobielsk - koniec wszelkich złudzeń

Publikujemy już trzeci fragment z opracowanych przed 10 laty wspomnień kapitana rezerwy WITOLDA PRUS-KĄCZKOWSKIEGO. Aresztowany pod Kowlem dostał się najpierw do obozu przejściowego w Szepietówce, następnie przebywał w Starobielsku, Pawliszczew Borze i Griażowcu.

Do września 1939 roku zarządzał majątkiem ziemskim Lubiaków w powiecie łowickim. Na wieść o wybuchu wojny wstąpił do wojska.

Po zawarciu paktu W. Sikorski - I. Majski został zwolniony z obozu w Griażowcu i wstąpił do formującej się w ZSRR polskiej armii gen. Władysława Andersa. Będąc w Buzułuku spisał swoje wspomnienia. Po wojnie przekazał je do Instytutu im. gen. Władysława Sikorskiego w Londynie. Rękopis opracował jego wnuk prof. dr Stefan Lental.

Dla uzupełnienia reprodukcję „Zaświadczenie” wystawione przez Ministerstwo Spraw Wojskowych 29 sierpnia 1923 roku.

14 XI.1939 r. o godzinie 10. rano kazano wszystkim jeńcom „sobiratsa s wieszczami”, tzn. wyjść z rzeczami na plac i ustawić się czwórkami - jedna setka za drugą, tych setek było, zdaje się, dwadzieścia. 2.000 oficerów - od generała do podporucznika. Jest wśród nas 70-letni generał Stanisław Haller, brat Józefa, bardzo zany i mądry człowiek - znosił niewygodę z pogodą i wielką cierpliwością. Po dobrych dwóch godzinach ruszyliśmy na stację. Nastroj był dobry - większość była przekonana, że jedziemy na zachód, jak podawano, do Kowla. A co będzie dalej, zobaczymy. Byłe dostać się na polską ziemię - tam łatwiej będzie wydostać się z obozu bolszewickiego, czy też niemieckiego i prysnąć do Rumunii czy na Węgry.

Po dojściu do stacji ujrzeliśmy długi sznur pustych wagonów towarowych, które najwidoczniej na nas czekały. Niestety były to wagony sowieckie, szerokokorowe. Dla wyjaśnienia muszę dodać, że do Szepietówki prowadziły od nas dwa tory - jeden normalny, a drugi szeroki (od Zdobunowa). Było to zrobione dla ułatwienia

MINISTERSTWO SPRAW WOJSKOWYCH
Department III Artyl. i Uzbr.
Wydział I Artylerji
Kazno Mostowski, telef. 80.
L.dz. 85506/Art.pers.

Warszawa, dnia 29 sierpnia 1923.

Zaświadczenie.

Wniośszesn stwierdzam, że kapitan KĄCZKOWSKI Witold - jako były oficer armji ros. i Korpusu Generała DOWBÓR-MUS-NICKIERGO - wstąpił do nowotworskiej się Armji Polskiej dnia 11 listopada 1918 roku i został przydzielony do III Dywjon Artylerji Polowej.

Dnia 28 listopada 1918 roku został odkomenderowany do Generalnego Inspektoratu Artylerji W.P. dla praos, zwignasznych z organizacją artylerji, skąd dnia 1 września 1919 roku został odkomenderowany na stanowisko tłumacza do Centrum Studiów Arty. eryjskich dla Wyższych Dowódców, po zlikwidowaniu których powrócił do Gen. Insp. Art. i objął stanowisko adjutanta.

W czasie najazdu bolszewickiego na Polskę w roku 1920 zgłosił się ochotniczo o odeszanie go na front. Przesło został przydzielony do nowotworskiego się 16 p.a.p., gdzie objął stanowisko dowódcy baterji i wraz z oąym pułkiem odeszedł na front, gdzie przebywał do zawieszenia broni.

Ze czynny bohaterkie na polu walki został odznaczony dwukrotnie Krzyżem Walecznych.

We wrześniu 1922 roku na własną prośbę otrzymał 18-miesięczny urlop dla uregulowania swych spraw majątkowych.

SZEF DEPARTAMENTU III.
W. Lental
Kazno Mostowski

komunikacji towarowej między obydwojma państwami. Do Szepietówki dochodziły polskie pociągi, a do Zdobunowa - sowieckie. Ludziliśmy się, że czekają na nas wagony polskie. Jeszcze jeden

zawód. Wpakowano nas do wagonów, jak śledzie do beczki, po pięćdziesiąt kilka osób. Ciasno okropnie - bez desek, ani słomy. Byli tacy, jak mój kompan Nieniewski, którzy wciąż się łudzili, że nawet sowieckimi wagonami możemy pojechać na zachód do Zdobunowa.

Pociąg szedł dobrze, nad ranem byliśmy już w Korosteniu - później Kijów, Połtawa, Charków - wciąż dalej i dalej na wschód. Mówią, że jedziemy nad Don, do kopalni węgla, inni znów, że na Ural, ale żaden przecież nie wie więcej od drugiego. Otwierać drzwi nie wolno - wyglądamy tylko przez okienka, orientując się według słońca co do kierunku jazdy. Rano i wieczorem, kiedy pociąg zatrzymywał się na jakiejś stacji pozwalano nam wychodzić z wagonów otaczając przed tym cały pociąg żołnierzami z bagnietami na karabinach, skierowanymi w naszą stronę.

Trzeciego dnia rano, 16 listopada 1939 r. pociąg zatrzymał się na stacji Starobielsk - około 200 km na wschód od Charkowa. Na peronie widać szereg wyższych oficerów sowieckich oraz oddział żołnierzy. Po krótkim postoju kazano wysiadać - jak się okazało był to cel naszej podróży.

Po wyjściu z wagonów ustawiono nas czwórkami, otoczono wojskiem i poprowadzono do obozu. Każdy musiał dźwigać swoje bagaże, szczęśliwie ja miałem tego niewiele. Obóz był niedaleko, około 3 km od stacji. Idziemy błotnistą drogą do miasteczka, takiego jak wszystkie powiatowe miasta rosyjskie, może tylko bardziej szarego i smutnego. Domki drewniane, przeważnie partonowe, sklepów bardzo mało - wyłącznie tylko państwowe, ludność ubrana bardzo mizernie.

Dochodzimy do celu. Widać wysoki czerwony mur okalający duży kompleks budynków - dawny klasztor prawosławny żeński, a obecnie obóz jeńców wojennych. Wzdłuż murów, na zewnątrz o parę metrów od nich ciągnie się wysoki parkan z drutu kolczastego - po rogach stoją wieżyczki strażnicze.

Wprowadzają nas pomiędzy dwa parkany i tak stoimy kilka godzin w szeregach, czekając na wpuszczenie do środka obozu. Wpuszczają bowiem po kilku jeńców, przeprowadzając rewizję każdego oraz rejestrację. Było już dobrze po zachodzie słońca, kiedy dostałem się do wnętrza - byłem zupełnie zmierznięty i okrutnie głodny, gdyż od rana nic nie miałem w ustach.

Po przejściu przez rewizję i rejestrację zaprowadzono nas do kuchni, gdzie dostałem pełną menażkę doskonalej gęstej owsianki. Tak dobrej kaszy i w takiej obfitości nigdy jeszcze w Sowietach nie jadłem.

Witold Prus-Kączkowski

„DAMIS”

bezpośredni importer – poleca:
ARTYKUŁY I ZABAWKI DO
ROBIENIA ŻARTÓW, m.in.

- znikające atramenty
- sztuczne kupy
- brudzące mydła
- tańczące puszki

Łódź,
tel. 56-01-88

● I OKOŁO 250 INNYCH
ATRAKCYJNYCH ZABAWEK
TEGO TYPU

Ogłaszaj się w „Odgłosach”

KOMIS SAMOCHODOWY CARO

Łódź, ul. Brzezińska 236B na trasie Łódź-Warszawa
Zaprasza miłych Klientów

oraz przyjmuje samochody renomowanych firm
Już wkrótce także sprzedaż części

HURTOWNIA ODZIEŻY IMPORTOWANEJ

„MEIMPEX”

Łódź, ul. Próchnika 13
tel. 33-41-32
czynna w godz. 9⁰⁰-18⁰⁰



poleca:

duży wybór bielizny damskiej, męskiej i dziecięcej

ZAPRASZAMY, CENY KONKURENCYJNE

HURT-ALL

oferuje

- rury i łączniki stalowe,
- rury i kształtki kanalizacyjne PCV,
- grzejniki żeliwne, panelowe i Faviera,
- zawory wodne i c.o.,
- brodziki i zlewozmywaki,
- gazowe piece kąpielowe,
- podgrzewacze elektryczne 5, 10, 50, 80 l,
- wiele innych atrakcyjnych towarów.

Prowadzimy sprzedaż towarów bez podatku obrotowego

ZAPRASZAMY! od 7 do 15

Hurtownia Materiałów
Sanitarno-Instalacyjnych

Pabianice, ul. Lutomiarska 19,
tel. 15-23-92, tel/fax 15-23-82

BIURO TURYSTYCZNE

91-032 Łódź, ul. Limanowskiego 166, tel. 51-50-30

5-DNIOWE WYCIECZKI
PEGS – SZEKSZARD, TATABANYA – GYŐR

WCZASY

WĘGRY CZECHOSŁOWACJA
WYNAJEM AUTOKARÓW
(DLA SZKÓŁ ZNIŻKA)

SYLWESTER W BUDAPESZCIE



ZDROWOTNE MATY BAMBUSOWE

na fotele samochodowe (hurt i detal)

NOWOCZESNE BAGAŻNIKI SAMOCHODOWE

sprzedaż również w sobotę – LKS
w niedzielę – Gięda samochodowa

Firma TOBIK • Firma TOBIK • Firma TOBIK • Firma TOBIK

- FOTELE SAMOCHODOWE – naprawa i przeróbka
- Montaż bezpiecznych ZAGŁÓWKÓW
- DRZWI I ZAMKI – regulacja
- ZAMKI CENTRALNE i elektryczne
- PODNOŚNIKI SZYB
- MECHANIKA POJAZDOWA 126p
- AUTOKOMIS i sprzedaż

FIRMA TOBIK, Łódź, ul. Tuwima 15

☎ 32-46-62



GALERIA 31

90-410 Łódź, ul. Piotrkowska 31, tel. 32-44-74

**OFERUJEMY WSPÓŁCZESNE DZIEŁA SZTUKI I WYROBY ARTYSTYCZNE
ORAZ DZIEŁA SZTUKI POWSTAŁE PRZED 1945 r.**

Wykonujemy ekspertyzy i wyceny dzieł sztuki

SOBIERADEK

94-042 Łódź, ul. Florecistów 1 (Retkinia), tel.: 86-42-54

- glazura i terakota mrozooodporne (import Włochy, Szwajcaria)
- boazerie i listwy
- okucia meblowe i budowlane
- płyty laminowane, wiórowe i pilśniowe
- meble kuchenne i ogrodowe
- farby, lakiery i tapety
- narzędzia i elektronarzędzia
- maszyny do obróbki drewna
- sprzęt instalacyjno-sanitarny
- usługi cięcia płyt
- urządzenia do odświeżania powietrza – jonizatory

Godziny otwarcia: od poniedziałku do piątku 10.00-18.00

Sex-Shop

Łódź, ul. Piotrkowska 48
tel. 32-52-14

Czasopisma, akcesoria,
afrodyzjaki, zdjęcia,
katalogi

Także dział gejowski
**Znajdziesz TU to,
czego szukasz
i jeszcze więcej!**

Erotic Land

Erotic Land

Erotic Land

Erotic Land

Erotic Land

Erotic Land

BIURO USŁUG
TURYSTYCZNYCH

JANOSIK

90-361 Łódź, ul. Piotrkowska 270, XIV piętro, pok. 1404
tel. 84-70-24, 81-02-11 w. 474, 196, fax 81-59-27

OFERUJE:

USA-KANADA-MEKSYK-WYSPY BAHAMA

10, 14, 18 dni – ceny: 1670-2300 USD

FRANCJA – PARYŻ – licytacje samochodów z możliwością zakupu, cena: 2,5 mln złotych

PARYŻ-REIMS-METZ-MANNHAIM-FRANKFURT

przejazdy autokarowe z Wrocławia w każdy piątek

SYLWESTER w:

MADRYCIE, BARCELONIE, WENECJI, RIO DE JANEIRO

BRAZYLIA-ARGENTYNA – karnawał

ZAKOPANE – terminy dowolne: 70 tys. z wyżywieniem

CIEPLICE – Zdrój: 95 tys. z wyżywieniem

WISŁA – 95 tys. z wyżywieniem

Od listopada wyjazdy do:

**JAPONII, CHIN, INDII, TAJLANDII,
SINGAPURU**

W przygotowaniu wyjazdy na narty w Alpy oraz zimowiska w Czechosłowacji i Bukowinie Tatrzańskiej

Firma „KATE”

oferuje żaluzje w 30 kolorach

już od 80.000 zł

Dla odbiorców hurtowych,
stale współpracujących, udzielamy rabatu

J. Włuka, Łódź, Okręgowa 67, tel. 84-76-15

ROZNE

- KLUB „Ambasador” zaprasza na międzynarodowe wieczorki taneczne dla samotnych, ul. Bazarowa 6, piątek 18.00-23.00
- OGNISKA muzyczne (gitarra, fortepian, akordeon), zapisy ŁTM ul. Piotrkowska 65, tel. 33-38-47
- QI-GAG – tel. 43-96-90
- CALLANETICS, aerobik – zajęcia modelujące sylwetkę, 33-58-29
- RECITAL – Agnieszka Fatyga z nowym programem w EDK, ul. Traugutta 18. Już 28 X 91 godz. 19.00. Bilety – CIK, kasa kina ŁDK
- SZUKAMY sponsorów Międzynarodowego Zjazdu p.h. „Człowiek Nowej Er.”, tel. 43-96-90
- ZESPÓŁ Pieśni i Tańca „ŁÓDŹ” przyjmie chłopców w wieku 16-21 lat, tel. 84-24-02
- KURSY języków obcych – tel. 34-41-79
- ZAJĘCIA rytmiczno-taneczne dla dzieci, tel. 84-68-66
- KURSY nauki gry na gitarze dla młodzieży, tel. 33-98-00 w. 218
- EDUKACJA teatralna dla młodzieży szkół średnich – zgłoszenia, tel. 33-16-27
- LEKCJE języka francuskiego – 50.000 zł za godzinę, 43-72-61 wieczorem
- JAK, gdzie można zarobić? – G. Wodo, Radomsko, Zgoda 11, 25.000,-
- UDOSTĘPNIĘ sprawdzony system beznakładowego zarabkowania (20 tys. przy odbiorze). Grzegorz Piątek, 97-200 Tomaszów Mazowiecki, ul. Głowackiego 39/43
- Jak zarabiać adresując koperty podpowiem, kto prześle mi 10.000 zł + znaczek i kopertę zwrótną. Wiesław Lesiak, Białynin 51, 96-130 Głuchów

VIDEO

- VIDEOFILMOWANIE – 84-24-02
- REWELACYJNE kasety video – wypożyczalnia „Rak”, ul. Wschodnia 62

USŁUGI

- MONTAŻ boazerii, pawlaczy, szaf, zabudowy – rachunki – 55-68-90
- MONTAŻ boazerii, pawlaczy, szaf, zabudowy, gwarancja – rachunki – 51-78-68
- NAPRAWY – telewizory, odbiorniki radiowe, radiomagnetofony, ul. Łączna 19 m 10 (w podwórzu po 16.00)
- KABO-MUSIC – wyrób, sprzedaż, naprawa instrumentów, ul. Rzgowska 61, godz. 8-20
- ZESPÓŁ wokalnoinstrumentalny, wesela, bankiety, tel. 48-64-30
- „GOLD-MART” – usługi jubilerskie, ul. Pomorska 3
- PIZZERIA „DAMARIO” poleca w dużym wyborze włoskie potrawy, plac Wolności 12
- MAŁOWANIE reklam, wystaw sklepowych – artysta plastyk – 78-87-59
- WYKONUJĘ peruki, treski, przypinki z włosów naturalnych i sztucznych import, 81-14-61
- KAWIARNIA „Na Piętrze” oferuje przyjęcia, bankiety, obsługa kursokonferencji, ul. Traugutta 18
- „TRANS-TOUR” – biuro turystyczne oferuje atrakcyjne wycieczki zagraniczne, ul. Obr. Stalingradu 27
- WYPOŻYCZALNIE smoków i fraków najlepszych firm światowych, ul. Sienkiewicza 31, tel. 32-82-05
- „GLOB-TRANS” – atrakcyjne wycieczki zagraniczne, tel. 32-89-29, ul. Piotrkowska 65
- RADIO TAXI 919 – czynne całą dobę
- AGENCJA Matrymonialna „Adam i Ewa” – 86-76-06, ŁDK, ul. Traugutta 18, poniedziałki od 18 do 20

- NAPRAWA maszyn do szycia, tel. 32-08-59, godz. 17-20
- WYKONUJĘ portrety – 33-18-84
- ELEKTROINSTALACJE naprawy, pomiary, po 16, tel. 36-21-04
- NOWO otwarty bar „TIP-TOP” – poleca świeże, gorące jedzenia, ul. Rzgowska 61
- REKLAMA – napisy, szyldy, prace dekoratorskie, ul. Łączna 34, godz. 9-17
- BIURO Usług Turystycznych „Glob”, Zielona 32, tel. 32-34-25 organizuje wczasy krajowe i zagraniczne, sesje, zjazdy, wycieczki na grzybobranie
- BLACHARSTWO pojazdowe, Antoniew 23, udzielam bonifikaty
- DRAPANIE dzianin, tel. 57-85-61, Pstrowskiego 27, zatrudnię drapacza
- DEKODERY, wyjścia wideo, naprawa (radzieckie kolor), tel. 48-30-28, Jończyk

LOKALE

- ZAMIENIĘ nowe 41 m² mieszkanie Bałuty na większe, tel. 51-68-45
- ZAMIENIĘ M-3 własnościowe Ł-Bałuty na Konstancyń, 55-22-14, wieczorem
- MIESZKANIE M-3, M-4 kupię, tel. 81-85-68 (wieczorem)
- ZAMIENIĘ mieszkanie kwaterekowe 15 m² na większe, ul. Rzgowska 15 m 14
- MIESZKANIE 111 m² w centrum miasta zamienię na dwa oddzielne, telefon po 17, 33-42-66

Do wynajęcia 10 pomieszczeń biurowych

ok. (220 m²) na ul. Piotrkowskiej 96. Cena za 1 m² pow. użytkowej 40 tys. zł. Oferty prosimy składać listownie pod adresem: Tygodnik „Angora”, Łódź, ul. Piotrkowska 94 z dopiskiem: „POMIESZCZENIA”, lub telefonicznie 32-61-79

SPRZEDAŻ

- SPRZEDAM frak czarny, paryski, wymiar 182/54, pas 85, tel. 36-71-41
- ROZEN wolnostojący imp. Węgry, cena 3,5 mln zł, sprzedam, tel. 132-430
- SPRZEDAM kloce gruszy (do rzeźbienia), tel. 74-58-91
- ELEGANCKIE futro z nutrii z lisem nowe – sprzedam, cena 3,5 mln, tel. 51-68-45
- SREBRNE lisy sprzedam, cena 1 szt. – 280 tys. – w hurcie dużo taniej, tel. 81-31-06, wieczorem
- ELEGANCKĄ suknię ślubną na szczupłą osobę sprzedam – cena 2 mln (do uzgodnienia), tel. 45-25-45, wieczorem
- DZIAŁKĘ pracowniczą (osiedle Mireckiego) sprzedam, cena 1 m² – 50 tys. telefon 51-68-45
- BLACHA, ocynk – hurt – tel. 42-13-67, 81-05-75
- MERCEDES 207 D – sprzedam – cena 85 mln, r. 87, telefon 84-38-13, wieczorem

TOWARZYSKIE

- DYSKRETNY 33-letni pozna kobietę 18-40 lat zainteresowaną seksem. Listy: Prasowa 91, 91-701 Łódź 25, skrytka pocztowa 6

- WOLNA lat 40, 1 dziecko, duże mieszkanie pozna pana do lat 45, tel. 33-78-03

PRACA

- ARTYSTA plastyk poszukuje pracy zleconej, specjalizacja biżuteria unikatowa, tel. 33-33-89
- MASZYNOPISANIE i inne prace biurowe – także korespondencyjne – wykonam szybko i solidnie. Proszę także o inne propozycje pracy dla młodego mężczyzny. 95-201 Pabianice 3, box 8

FIRMA PRYWATNA

zatrudni operatywnego handlowca ze znajomością marketingu i reklamy. Potrzebne doświadczenie i kontakty oraz znajomość języka niemieckiego i angielskiego. Zgłoszenia tel. 32-61-79

BIZNES

- SUKNIE ślubne „STYL” – Rzgowska 72
- AUTO-HIT – części Opel, Mercedes, Audi, VW – Górniak, ul. P. Skargi, pawilon 60, tel. 34-38-86
- POLECAMY tani sprzęt chłodniczy, pralki automatyczne, wózki dziecięce polskie i zagr. „ALMATEJA”, ul. Rzgowska 79, tel. 84-38-13
- P.H. „GEPARD” najtańsze meble w kraju z dostawą pod dom do 100 km w jedną stronę. Sieradz, Krakowskie Przedmieście 78a, tel. 59-05 Witkowski
- „KAN-BUT” – Piotrkowska 114 poleca modne obuwie, hurt, detal
- TANIA i atrakcyjna odzież zachodnia w bardzo dobrym stanie, ul. Ossowskiego 8
- DORADZTWO prawne – firma „NORTEX” – J. Budziński, ul. Piotrkowska 83, telefon 32-24-58
- RENOMOWANY sklep kapelusznicy poleca swoim klientom najmodniejsze kapelusze jesienne-wiosenne, Piotrkowska 111 w podwórzu, Wasiak
- PRACOWNIA plastyczna – ul. Zachodnia 101, 32-32-87
- NOWO otwarta apteka „BETULA” – poleca duży wybór leków zagranicznych i polskich, ul. Rzgowska 76
- „DEVERNOIS” – prosto z Paryża suknie, bielizna, garsonki, spódnice, bluzki, ul. Jaracza 9 tel. 32-65-62
- „KRAWTEX” – dodatki krawieckie, zakładanie nap, dziurki, guziki, Włokiennicza 14
- „BUD-ART” – atrakcyjne wyposażenie wnętrz, pl. Wolności 9
- BOAZERIE – szlifowane, sosna, powyżej 2 m – 62 tys. do 2 m – 56 tys. do 1 m – 53 tys. ul. Jaracza 4, tel. 81-46-89 godz. 10-18
- „MARKOP” – odzież, galanteria, artykuły spożywcze, Obrońców Stalingradu 35
- PROJEKTOWANIE i wyrób biżuterii srebrnej – artysta plastyk, tel. 86-21-56
- SKLEP firmowy „OLA” – duży wybór eleganckich garsoniek, sukienek. Wyrób i sprzedaż, ul. Rzgowska 72
- ZIELARNIA „Hipokrates” poleca szeroki wybór ziół i nalewek ziołowych, ul. Rzgowska 57
- KRATY, drzwi stalowe, ul. Lecznicza 1/7 m 32a
- D.H. „Boss” ul. Jaracza 4, tel. 32-34-10 oferuje w Salonie Mody „Europa” ekskluzywną odzież renomowanych firm zachodnich

- „OPTIMUS” – sklep firmowy poleca do sprzedaży amerykańskie suknie ślubne i wizytowe. Niepowtarzalne wzory, niskie ceny, ul. Sienkiewicza 32, tel. 32-82-05
- HURTOWNIA „BARTI” – art. spożywcze, tanie papierozy, napoje, kawa. Pabianice, ul. Laskowa 1, tel. 15-19-02
- HURTOWNIA biżuterii sztucznej „Jagar”, ul. Chochoła 29
- HURTOWNIA dodatków krawieckich P.W. „JUREX” Brzeziny, ul. Sienkiewicza 22, tel. 0-40 kier. 74-36-73
- PRZEDSIĘBIORSTWO Handlowe „FAGRA” – elektronika hurt-detal, 88-25-65, Szafranski
- ANTENY satelitarne PACE, CX i inne sprzedaż, hurt-detal, montaż, serwis, gwarancja, 52-76-17 Hans, ul. Rzepakowa 18
- ODZIEŻ jeansowa, garnitury – hurt, ul. Rzgowska 79, tel. 84-38-13
- HURTOWNIA „MAXI” – dodatki krawieckie, ocieplina, art. spoż. pochodzenia zagranicznego, ceny hurtowe, ul. Lokatorska 11 – godz. 9-15
- HURTOWNIA Piwa – Kasprzaka 9a, czynna od 8 do 18
- „Euro-BALEX” – Spółka z o.o. ul. Kilińskiego 12 – rajstopy damskie w atrakcyjnych kolorach: kontynuacje Z.P.Dz. „Bistona”. Hurt-detal. Cena 5 tys.
- DRESY dziecięce anilana, cena 35.000-40.000 zł, 42-08-90 (wieczorem)

KUPNO

- KUPIĘ okazjnie Forda Transita – 81-31-06 (wieczorem)

ZYCZENIA

- Plk. Kawalcowi (WAM) za wspaniałe serce dziękuje IV b SP. 9
- Iwonię Potyrała serdeczne życzenia imiennowe składają rodzice, brat Paweł i dziadkowie
- Kochanej Annie Sobczak z Pabianic, ul. Toruńska 50/1 z okazji 3 rocznicy ślubu życzenia składa mąż i „Nynek”
- Urszuli Janiak zam. Zamenhofa 6 życzenia imiennowe składa mąż z Ewą
- Marii Kuskowskiej zam. Kaszubska 10 dużo zdrowia życzy brat z rodziną
- Urszuli i Tadeuszowi Kowalczykom zam. Mundurowa 3 serdeczne życzenia imiennowe składają Kociołkowie z Gosią
- Marii Markowicz zam. Sławkowska 28 serdeczne życzenia imiennowe oraz podziękowania składa Ania i Marek
- Urszuli Kaźmierczak zam. Strażacka 6 z okazji imienin serdeczne życzenia składa brat

CZYTELNIKU! Wypełnij wycięty z naszego pisma kupon i prześlij go pod adresem redakcji. Twoje ogłoszenie zostanie zamieszczone bezpłatnie w jednym z najbliższych numerów „Odgłosów”.

KUPON OGŁOSZENIOWY „Odgłosy” 90-113 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5

Treść: _____

(imię i nazwisko) (adres) (telefon)

(data) (podpis)

● KUPON OGŁOSZENIOWY ● KUPON OGŁOSZENIOWY ● KUPON OGŁOSZENIOWY

PO
wina
piwa
napoje

kawę
ocet
oraz słodczyce

Zaprasza

Przedsiębiorstwo „JAFI”

Łódź, ul. Cyprysowa 23

Tel. 34-27-72

Reklama w „Odgłosach” to reklama przez cały tydzień!

Oferujemy usługi w zakresie reklam. Promocyjne ceny:

- na kolumnie ogłoszeniowej – 6 tys. zł za 1 cm² (minimalna powierzchnia ramki 25 cm²)
- reklamy na pierwszej stronie – 100% dodatku (powierzchnia nie może być większa niż 150 cm²)
- reklama na ostatniej stronie – 50% dodatku (powierzchnia nie większa niż 200 cm²)
- reklama na pozostałych stronach 30% dodatku

Wykonujemy opracowania graficzne reklam: przy całościowej – 10% dodatku, przy pozostałych – 25% dodatku. Przy pięciu kolejnych ogłoszeniach – piąte zamieszczamy bezpłatnie!

Proponujemy także nowy atrakcyjny rodzaj reklamy w formie artykułów pisanych przez naszych dziennikarzy. Rodzaj publikacji i opracowanie graficzne do uzgodnienia.

Ceny: całościowa publikacja – 10 mln zł, półcałościowa 6 mln zł, ćwierćcałościowa 4 mln zł

Ogłoszenia przyjmowane są w:

- „Odgłosach” ul. Sienkiewicza 3/5 XI piętro, pok. 1104, tel. 36-52-44
- „Gazecie Reklamowej” ul. Sienkiewicza 11/13, tel. 33-18-19
- AnGORZE” ul. Piotrkowska 94, I piętro, pok. 11, tel. 32-61-79
- Biurze Ogl. i Rekl. „Epoka” al. Kościuszki 41, tel. 33-23-28
- Biurze Reklam i Ogłoszeń ul. Sienkiewicza 3/5, tel. 33-11-50
- B.U.T. „Voycamp-Tour” ul. Piotrkowska 91, tel. 33-36-21

Zasady przyjmowania ogłoszeń drobnych bezpłatnych

1. Ogłoszenie nie powinno przekraczać 10 słów
2. Każde ogłoszenie dotyczące sprzedaży powinno zawierać cenę
3. Ogłoszenia z życzeniami, podziękowaniami, przeprosinami itp. powinny zawierać imię, nazwisko oraz adres bądź miejsce pracy osoby, której składa się życzenia.
4. Ogłoszenia z zawiadomieniami o urodzinach niemowląt powinny zawierać imiona i nazwiska rodziców, nazwę szpitala, godzinę i datę urodzenia, długość i wagę noworodka, płeć niemowlęcia.
5. Ogłoszenia należy nadesłać pod adresem redakcji na zamieszczonym obok kuponie bądź też osobiście złożyć w redakcji, Sienkiewicza 3/5 XI piętro.
6. Redakcja zastrzega sobie prawo nie publikowania ogłoszenia bez podania przyczyny.

● Podczas czwarczego strajku pracownicy łódzkiej „Foniki” usłyszeli od prezydenta Wałęsy, że produkują „patefony”, a ich jakość prezydent ocenił według tego, „że się nie sprzedają”. Strajkujący sprezentowali wówczas prezydentowi ów „patefon” czyli gramofon kompaktowy. Ostatnio otrzymali z Belwederu pismo z załączoną doń wypełnioną kartą eksploatacyjną. Wynika z niej, że jakość odtwarzania oraz funkcjonalność przełączników i regulatorów są bez zastrzeżeń, jakość współpracy z radiem i wzmacniaczem jest wysoka, a usterek estetycznych nie zauważono. Użytkownik zdecydował się zakupić kompakt. Użytkownikiem okazał się być Andrzej Kozakiewicz, sekretarz ds. ekonomicznych prezydenta RP, a nie sam prezydent. Być może dlatego zabrakło słowa: – przepraszam.

● W kolejnym swoim sondażu „100 telefonów” tygodnik „Wprost” (nr 42 z 20 października) prosił mieszkańców Poznania, Warszawy i Łodzi o ocenę następującego faktu: „Hierarchia Kościoła katolickiego coraz częściej zabiera głos na temat aktualnych spraw politycznych – recenzuje działalność środków masowego przekazu, wskazuje na kogo należy głosować w nadchodzących wyborach”. Na pytanie: „Czy akceptujesz działania Kościoła mające na celu wywieranie wpływu na życie polityczne? – 62 proc. ankietowanych odpowiedziało – nie, 21 proc. – nie mam zdania, 17 proc. – tak.

● W tym samym numerze „Wprost” opublikowało wyniki innego, interesującego sondażu, w którym 1500 mieszkańców Poznania redakcja



zadała pytanie: – „Z którym z wymienionych polityków nawiązałyby pani romans?”. Panie, w wieku od 18 do 83 lat, zadeklarowały się rozmaito, ale zdecydowanym kandydatem nr 1 do romansu został wybrany Jacek Kuroń. Głosowały na niego aż 504 poznanianki. Drugie miejsce – 128 chętnych do romansu pań – zajął minister, kawaler, Krzysztof Skubiszewski, 3 – 121 wielbicielek – Adam Michnik. 118 głosów zyskał Włodzisław Cimoszewicz, 116 – Tadeusz Mazowiecki, 96 – Władysław Frasyniuk, aż 94 – Stanisław Tymiński. Z ciekawych wyników warto odnotować: Lech Kaczyński, ten z wąsami ma wśród ankietowanych poznanianek jedną wielbicielek, brat bliźniak, ale bez wąsów, Jarosław Kaczyński – żadnej. Prezydent Lech Wałęsa – jedna, żadnej chłopskiej przywódco – Gabriel Janowski i Roman Bartoszczyk. Za to 4 – marszałek Sejmu, Mikołaj Kozakiewicz, jak wiadomo członek PSL. Z Leszkiem Moczulskim wdałaby się w romans tylko jedna pani, za to z Jerzym Urbanem aż 38. Byłego rzecznika rządu wyprzedza o jedną wielbicielek Bronisław Geremek. Wśród wytypowanych do romansu polityków znalazł się też łódzianin, poseł Stefan Niesiołowski. Przykro powiedzieć, ale żadna z pań nie ma ochoty mieć do czynienia z panem posem z Łodzi.

● ZJM komentuje uchwałę Sejmu o postawieniu Mieczysława F. Rakowskiego przed Trybunał Stanu:

**Pod Trybunał eks-premiera,
Stocznia zamknąć chciał, cholera!
Spytać pora tu stosowna:
Ona aby jest rentowna?**

● „Głos Poranny” relacjonuje rozmowę z podkomisarzem Komisarzatu Kolejowego Policji Łódź Fabryczna KRP Łódź Śródmieście, panem, niestety nie podano imienia, A. Jaksy. Z relacji wynika, że jesienią pasażerowie korzystający z coraz to droższych usług PKP „powinni czuć się bezpiecznie”. Co prawda, w pociągach zdarzają się kradzieże, ale jest ich niewiele. „Dziennie zgłaszają się 3-4 osoby ze skargami o dokonywanych kradzieżach”. A. Jaksy przy okazji ostrzega, których szlaków kolejowych pasażerowie powinni raczej unikać, bo tam się kradnie najwięcej. I tak: pociągów relacji: Krynica-Gdynia przez Łódź Widzew, trasy Częstochowa-Piotrków-Radomsko i Warszawa Wschodnia-Łódź Fabryczna. W relacji z rozmowy z podkomisarzem czytamy dalej: – „Na stacjach, w pociągach zdarzają się też rozbójce. Nie jest ich dużo, ale są uciążliwe dla pasażerów. Na stacji Łódź Niecałkowita mężczyzna został trafiony nożem w serce.” No i dość tych cytatów. Bo gnębi nas jedno pytanie: – Kto tu jest nieodpowiedzialny za słowo, pan podkomisarz czy dziennikarz?

● W Państwowej Straży Rybackiej pracują głównie społecznicy. Choć na przykład w Łodzi aż trzech strażników pracuje na etatach. Łódź, jak z tego wynika obfituje w czyste, bogate rybami wody. Jeśli się mylimy, prosimy lokalną PSR o sprostowanie. Jak wiadomo strażnicy nie mogą sobie poradzić z kłusownikami. Wobec tego, jak donosi Dzierżysław Proszak z „Głosu Porannego”, niektórzy strażnicy proponowali, żeby pozwolono im strzelać do wędkarzy bez wykupionej „Karty wędkarskiej” plastikowymi nabojami. I w obronie własnej i do tych kłusowników, którzy strażnikom uciekają. Niestety. Okazuje się, że „w takie naboje wyposażone są tylko oddziały zwarte, użyte być mogą tylko do rozpedzania tłumów. PSR przyjdzie więc sięgać po tradycyjne metody walki z „kłusolami”. Wyobraźnia nam się rozszalała. Jakimi nabojami społecznicy PSR strzelają do kłusowników teraz?

B.M.

CZYTELNICZY PISZĄ

W rubryce tej zamieszczamy teksty zawierające poglądy lub opinie, które redakcja nie zawsze podziela

Powracająca fala (nomenklatury)

Czy warto pisać o sprawie, która z jednej strony jest tak typowa, że aż banalna, z drugiej zaś tak zawiślana, jakby ją ktoś celowo chciał poplątać? Czy warto z benedyktyńską cierpliwością rozplątywać ten węzeł?... Może warto choćby tylko po to, by pokazać, w jak pokrętną postaci trwa nadal to, o czym wielu skłonnych jest myśleć jako o już zamkniętym rozdziale.

Miejsce akcji: Politechnika Łódzka.

Czas akcji: ograniczmy się do ostatnich dwóch lat.

Osoby: grupa młodych filozofów, pracowników naukowych oraz bliżej nie zidentyfikowana siła pojawiająca się w różnych postaciach.

Naszą opowieść rozpoczynamy we wrześniu 1989 roku. Zbliża się początek nowego roku akademickiego. Jest to chyba najbardziej nowy ze wszystkich początków nowego roku. Pierwszy rok w wolnej Polsce. W czerwcu wybraliśmy Sejm i swój Senat, na czele Rządu stoi nasz Premier..., a w Studium Podstaw Filozofii Marksistowskiej w PŁ tak, jak dawniej – nic się nie zmienia. Wprawdzie oficjalnie marksistowską ideologię odłożono do lamusa, ale tu ciągle obowiązują programy ministerialne poprzedniego rządu. Faktownie, nikt ich przecież nie odwołał. Kierownictwo bierze na przeczekanie. Już kilka razy ta strategia przyniosła dobre rezultaty.

– Już się trzęsie, zaraz się rozleci, długo nie wytrzyma – przekazują sobie, z błyskiem w oku, informacje o aktualnej sytuacji państwa wypróbowa- ni w bojach na ideologicznym froncie szefowie. Cza- sy panowania wyrobiły w nich poczucie nieograniczonej przewagi i bezwstydu moralnego wobec swoich podwładnych. W ogóle ich nie dostrzegają, tak jakby zapomnieli, że są obok nich. Aż nagle, jak grom z jasnego nieba, ci niemi, nie zauważani wy- robnicy odważyli się powiedzieć swemu kierownictwu zdecydowane NIE!

– Nie chcemy, by kierowała nami grupa partyjna, nie mamy zamiaru dłużej udawać, że uczymy marksizmu, nie chcemy milczeć, nie chcemy głupawo się uśmiechać, gdy poucza się nas o tym, że nierozsądnie i krótkowzrocznie robimy nie wstępując do PZPR. Chcemy wreszcie móc być sobą, chcemy wreszcie móc uczyć tego, czego uczymy, chcemy wreszcie móc poczuć się u siebie, na swoim miejscu.

Złożony Jego Magnificencji Rektorowi PŁ wniosek wyrażający ich stanowisko przyjęty został ze zrozumieniem i powagą. Rektor jednak wyjaśnił, że z dnia na dzień takich spraw się nie załatwia, że trzeba poczekać. Apelowali o cierpliwość w oczekiwaniu na czas, aż fala reform dotrze do PŁ. Otrzymali jednak od rektora ustne przyzwolenie na realizowanie własnych, autorskich programów dydaktycznych i zapewnienie, że kierownictwo, przeciwko któremu słusznie wystąpili, nie będzie im w ich pracy przeszkadzać. I rzeczywiście – od tego czasu swoich wodzów spotykali co najwyżej na schodach, a kontakty ograniczyły się do zdawkowego „dzień dobry”. Sytuacja taka trwała ponad półtora roku. W tym czasie zmienił się rektor. Sądząc, że być może fala reform dotarła już do PŁ, zbuntowani filozofowie złożyli wizytę nowemu rektorowi, przypominając o ciągle ostatecznie nie rozwiązanej sprawie. Rektor stwierdził, że właśnie zabiera się za generalne porządki, w których także i ich słuszne postulaty na pewno zostaną uwzględnione.

Jakże ogromnie się zdziwili, gdy 15 marca 1991 wraz z informacją o rozwiązaniu Studium, w którym dotychczas pracowali, włączono im zwolnienia z pracy w PŁ. Zdziwili się jeszcze bardziej, gdy dowiedzieli się, że jednej osobie z kierownictwa oraz kierownikowi Zespołu Nauk Politycznych wypowiedzenia cofnięto. Oni nadal pracują w PŁ i to oni będą odpowiedzialni za kształt reformy szkolenia ideologicznego na uczelni.

Dopiero wtedy zbuntowani filozofowie zdali sobie sprawę z tego, że fala reform dotarła do PŁ nie z tej strony, z której się jej spodziewali. Sformułowali protest, w którym wyrazili swe oburzenie na tak jawne gwałcenie ducha reform politycznych. Rektor zapoznawszy się z protestem stwierdził, że rozumie zdziwienie i niepokój. Wszystko jest jeszcze w fazie organizacji, nie należy więc zbyt pochopnie wyciągać wniosków i snuć przypuszczeń. Poinformował, że ma zamiar utworzyć Katedrę Humanistyki, w której cała grupa znajdzie zatrudnienie, o ile tylko będą w programie studiów godziny dydaktyczne przeznaczone na kształcenie humanistyczne. Wprawdzie nie bardzo przekonali ich słowa rektora, ale Słowo Rektora nie jest czymś, co rzuca się na wiatr.

– Zdawaliśmy sobie sprawę – mówi jeden z filozofów – że jeżeli Katedrę Humanistyki zorganizować będą ci, którym przed półtora rokiem wypowiedzieliśmy posłuszeństwo, zrobimy wszystko, aby się nas pozbyć. Rektor, kalkulowaliśmy, jest przecież na uczelni osobą najważniejszą. Postanowiliśmy zawieść rektorowi i pomóc mu w spełnieniu obietnicy.

Zadanie, które przed nimi stało, polegało na niedopuszczeniu do tego, by przedmioty techniczne i ekonomiczne wyparły zupełnie kształcenie humanistyczne z programu studiów w PŁ. Postanowili w własną rękę zapoznać dziekanów poszczególnych

wydziałów oraz studentów z własnym rozumieniem kształcenia humanistycznego, z przygotowanym przez siebie blokiem dziewięciu przedmiotów, obejmującym obok problematyki ściśle filozoficznej także etykę, estetykę oraz zagadnienia socjologii, psychologii i historii kultury. Zaskoczeniem było dla nich pełne zyciowości, zainteresowania i zrozumienia przyjęcie ich propozycji przez dziekanów większości wydziałów. Kształcenie humanistyczne, a nie uprawiana dotąd przez wielu krytykoideologia – za tym opowiedzieli się także studenci.

Dziekanowie gotowi byli przeznaczyć pewną liczbę godzin na realizację tych programów. Było jednak pewne „ale”. Jak uczynić, by adresowane do nich godziny mogły być właśnie przez nich realizowane, skoro nie są już pracownikami uczelni. Rektor obiecał zatrudnienie, gdy będzie zapotrzebowanie na ich pracę, a zapotrzebowanie będzie wtedy, gdy będą zatrudnieni – koło niemożności się zamyka. Rektor w tej kwestii okazał się nadzwyczaj powściągliwy. Aby tę, wydawałoby się, czysto organizacyjną trudność pokonać, zbuntowani filozofowie, idąc za sugestią jednego z dziekanów, wystąpili z wnioskiem o utworzenie niezależnego organizacyjnie i merytorycznie od równocześnie powstającego w PŁ Wydziału Organizacji i Zarządzania, Studium Kształcenia Humanistycznego. Owa silnie podkreślana niezależność miała być wyraźnym znakiem odcięcia się od powstających na bazie wcześniejszych zadań ideologicznych układów, w które oni nigdy nie wchodziłi. Dodatkowym atutem tej grupy jest to, że każdy z nich oprócz wykształcenia filozoficznego ma ukończony jeszcze jeden kierunek uniwersytecki.

Wyniki rozmów z dziekanami wraz z wnioskiem o powołanie Studium Kształcenia Humanistycznego oraz wyliczeniem obiecanych godzin przedstawił rektorowi na kolejnym spotkaniu. Wniosek opatrzony został piśmennymi poparciami organizacji studenckich, zakładowej „Solidarności” oraz kierownika Katedry Filozofii UŁ, który w tej sprawie złożył także osobiście wizytę rektorowi PŁ. Równocześnie Senat PŁ uchwalił, że w programie studiów znaleźć się musi minimum 120 godzin zajęć humanistycznych, z wyraźnym wskazaniem, że w ramach tych godzin nie mogą się mieścić przedmioty typu ekonomiczno-managerskiego. W tej sytuacji rektor przyznał, że ma podstawy, by filozofów ponownie zatrudnić, ale ostateczną decyzję odłożył na wrzesień.

– We wszystkich rozmowach uświadomiliśmy rektorowi, którego cały czas traktowaliśmy jako sojusznika, zagrożenie ze strony tworzącego się wydziału i ludzi, którzy znaleźli tam zatrudnienie. Rektor uspokajał nas twierdząc, że nie ma groźby, by mogli oni mieć wpływ na jakiegokolwiek jego decyzje. W tym optymistycznym nastroju rozstali się na okres wakacji. Byli tak pewni słów rektora, że nie zirytowali ich nawet rozpisywane i rozstrzygnięte w czasie, gdy większość z nich była na urlopie, konkursy do powstającego w PŁ nowej Katedry Ekofilozofii.

Po wakacjach okazało się jednak, że ich spokój i dobre samopoczucie były przedwczesne i nieuzasadnione – tak bowiem jak w baśni za dotknięciem różdżki czarodziejkiej czary przestały działać. Nagle okazało się, że wbrew uchwale Senatowi mało kto chce umieścić w programach przedmioty humanistyczne, że Katedra Humanistyki znajduje się w organizacyjnych ramach Wydziału Organizacji i Zarządzania, że jej kierownikiem jest były kierownik Zespołu Nauk Politycznych, że rektor zaakceptował ogłoszenie konkursu na trzy stanowiska w organizowanej katedrze, w której już zatrudniona jest osoba z byłego kierownictwa Studium Podstaw Filozofii Marksistowskiej.

W tej sytuacji trudno nie zauważyć, że młodzi gniewni przez pół roku byli zwodzeni przez rektora. – Rektor nie tylko nie wywiązał się z żadnej swojej obietnicy, ale tymi obietnicami wiązał nam ręce i zamykał usta w czasie, gdy ci, którzy byli naszymi rzeczywistymi przeciwnikami, owa powracająca fala, umacniali się na swych nowych stanowiskach.

Tym razem postanowili zwrócić się do rektora ze zdecydowanym, piśmennym protestem, domagając się, by także na piśmie jasno i jednoznacznie sformułował rzeczywiste przyczyny zwolnienia ich z pracy. Chcieli zobaczyć czarno na białym, że w nowym układzie zabrakło dla nich miejsca – w przeciwieństwie do tych, którzy już wielokrotnie mieli okazję dać świadectwo swej lojalności. Na to pismo, tak jak na wszystkie inne, rektor nie udzielił odpowiedzi.

Dzisiaj spotkali się w „pośredniaku”. Czekać na oficjalne potwierdzenie swojego nowego statusu, przeglądając swoje wnioski, apele, protesty, programy, patrzeć na nic nie znaczące poparcia: NSZZ „S”, NZS, PTF... Przypominają sobie słowa zachęty wypowiediane przez dziekanów i nie mogą uwierzyć, że tak już zostanie... ze tyle wysiłków na próżno...

Witold Wencel

Witold Wencel jest byłym pracownikiem Studium Filozofii Politechniki Łódzkiej

Łódź dryfuje ku Europie...

Dwaj przedsiębiorcy łódzcy p. Albin Markiewicz i p. Józef Fraszczyński przekonali się na własnej skórze, iż rację miała Unia Polityki Realnej krytykując ustawę o samorządzie, która upoważnia ów samorząd do prowadzenia działalności gospodarczej.

Oto w Łodzi odbył się przetarg na „Głos Poranny”. Słowo „przetarg” właściwie ma się tak tutaj do rzeczywistości, jak socjalizm do kapitalizmu (...). Gazeta poszła za 2 miliardy w ręce spółki „ASSI-CO”, którą tworzą bodaj trzej obywatele libańscy (rodzina), dwóch – na paszportach, zdaje się, francuskich. Spółka ta miała tę „przewagę” nad pozostałymi chętnymi, przedsiębiorcami polskimi, że – urzędza akurat drukarnię w pomieszczeniach b. bazy PKS (ale co ma do rzeczy przy normalnym przetargu, czym akurat ubocznie zajmuje się dany oferent. A gdyby budował lotnisko, – albo szył ciuchy?) – że uwaga, uwaga! – złożyła swą ofertę wespół z Sejmikiem Wojewódzkim w Łodzi (pierwsza informacja prasowa) a nawet także z Sejmikami Wojewódzkimi z Piotrkowa i Sieradza (następne informacje prasowe).

Spółka libańska kupiła „Głos Poranny” tania – za dwa miliardy złotych (choć, jak wiadomo, jeden z polskich przedsiębiorców dał o pół miliarda więcej). Jak się dowiedzieliśmy, owe sejmiki – ciała samorządowe – partycypują w kosztach w 20 procentach. Wychodzi więc na to, że dały 400 milionów (...)

W związku z tą dziwną transakcją, jaką był „przetarg” na „Głos Poranny” w Łodzi – gdzie możliwości korupcyjnych wprost ogrom! – można postawić kilka pytań. Na przykład:

– skąd sejmiki wojewódzkie miały pieniądze na zakup gazety? Czy spółka „ASSI-CO” skredytowała te sejmiki? Czy kto inny? Czy może ciekawie te sejmiki kupili za swoje prywatne pieniądze? A jeśli sejmiki skredytowano – to dlaczego?...

– czy sejmiki wojewódzkie będą kupować jeszcze jakieś inne przedsiębiorstwa osobno czy w spółkach i czy wówczas będą uprzywilejowane wobec prywatnych przedsiębiorców?

– dlaczego Komisja Likwidacyjna uznała, że wyższa oferta polskiego przedsiębiorcy jest gorsza od niższej oferty libańskiej spółki? Czy Libańczycy robią lepszą prasę od Polaków? Są bardziej europejscy?...

I tak dalej – tych pytań nasuwa się znacznie więcej.

Mnie się zdaje, że tym przetargiem powinien się jednak zainteresować jakiś organ kontrolny: cóż bowiem pomyśleć mają sobie zachęceni oficjalnie do przedsiębiorczości pp. Markiewicz i Fraszczyński, i inni polscy przedsiębiorcy?

Stefan Pomianowski
Marian Miszański

(„Najwyższy CZAS” nr 42, 19.X.1991)

Od redakcji:

Takie pytania zadaje sobie też właściciel „Odgłosów” i Wydawnictwa „WESTADRUK”, który również złożył ofertę na zakup „Głosu Porannego” i podobnie jak panowie Fraszczyński i Markiewicz – odszedł z kwitkiem.

Janajewem go!!!

Autor „Bigosu porannego” w „Głosie Porannym” przeczytał nasz tekst o elitach i napisał: „W „Odgłosach” – piśmie, powiedzmy rzewnie socjaldemokratycznym – publicysta K. Frejdlch wyraża pogląd, że redaktor Z. Szczepaniak, który opuścił był „Głos Poranny” jest lepszym chrześcijaninem od red. M. Papisa, który w redakcji pozostał. „Bigos” przychylił się do tej oceny. Janajew też uważał się za lepszego komunistę od Gorbaczowa i nie mu z tego nie wyszło.”

Przeczytał jak umiał i napisał jak umiał. A że nie rozumiał, iż K. Frejdlchowi nie chodziło o procent chrześcijaństwa u redaktorów Papisa i Szczepaniaka, lecz o etykę i kwalifikacje zawodowe zastępcy naczelnego – to nas wcale nie dziwi. W obecnym „Głosie Porannym” akurat ani jedno, ani drugie się nie liczą. A jak komu się to nie podoba, to łup go kropidlami, Janajewem albo czymś równie wytwornym. Na przykład „rzewną socjaldemokracją”.

Rzewny to pan jesteś, panie Bigos.

P. W.

Jedno danie Anny-Marii

Stwierdzam z całą stanowczością, że życie jest jednak piękne. Aby się o tym przekonać, nie potrzeba kozy, wystarczy mieć jakąś sprawę do załatwienia w urzędzie.

Bo znacie państwo, oczywiście, ten stary dowcip żydowski o Icku, kozie i rabinie? Znać? No cóż, nie szkodzi; proszę posłuchać go raz jeszcze (w wersji uwspółcześnionej):

Ickowi, gdy mu żona urodziła czwarte dziecko, odedziało się żyć. Firma, w której pracuje, robi bokami: kto wie, czy lada moment nie splajtuje; płaci nad wyraz marnie, a ceny zwykują z dnia na dzień; mieszkanie ciasne, em dwa ze ślepa kuchnią, dzieci płaczą, żona lamentuje, nie idzie wytrzymać. Poszedł do rabina, mówi: Ja się chyba powieszę, brak mi motywacji, aby żyć dalej, nie widzę żadnych perspektyw. A rabin mu na to: Ty, Icek, poczekaj jeszcze trochę z wieszaniem, ty sobie kup kozę. Do mego em dwa i czworga dzieci z lamentującą żoną? – zdenerwował się Icek, ale rabin mu ciągle o tej kozie. Żeby kupił. Hm, rabin człowiek mądry, chyba wie, co mówi. To kupił Icek kozę. Po dwóch tygodniach przybiega do rabina: Moje życie stało się koszmarem! Kozą beczy, dzieci wrzeszczą, żona lamentuje, a masło znowu zdrożało! Jak nie się powieszę! A rabin mu na to: Icek, ty z wieszaniem się zawsze zdążył, ty najpierw sprzedaj kozę.

Gdy Icek kozę sprzedał, stwierdził nagle, że życie bez kozy, choć z tą samą żoną i dziećmi w tym samym em dwa ze ślepa kuchnią jest całkiem znośne, a nawet bardzo przyjemne.

Więc ja ostatnio znajdowałam się w identycznym stanie ducha jak ów Icek przed nabyciem kozy. Wszystko mi było złe. Nawet nie rozczesały mnie plakaty wyborcze z hasłem, żeby nie bała się jutro. Bo co ja sobie o tym jutrze pomyślę, to aż mnie ściska ze strachu. Nawet jesień mi się przestała podobać, choć ona w tym roku wyjątkowo polsko-złota. Lecz co mi po takiej, nawet najbardziej polskiej jesieni, skoro nie mam czym pojechać do lasu na grzyby?

Owszem, jeździmy z synem, ósemką do Ła-

giwnik. Gdzie ku zgrozie licznych spacerowiczów zbieramy purchawki, o których mało kto wie, że są jadalne. A są. Nawet Piotr Kuncewicz zachwalał je w radiu z pozycji wytrawnego smakosza. Opowiadał, że francuskie doskonale gospodynie zbierają nie tylko młode purchawki, lecz „psikają” zarodniki starych w butelki, aby potem ten purchawkowy pył dodawać do swoich słynnych sosów francuskich.

Z butelką po Łagiewnikach z synem nie latamy; ale z koszykiem; purchawki rosły na szczęście bielutkie, tylko że poza nimi praktycznie żadnego innego grzyba nie uświadczysz. A dla

za październik miałam dorzucić połówkę. I byłby rower. Ale półtorej bańki jeszcze – to przekracza moje możliwości.

– Na raty mi spłacisz – powiedział znajomy, kierując się zapewne serdecznym odruchem współczucia i miłością do bliźniego swego. No i koniec, syn przyniósł kartki, maszynę do pisania, kalkę, dopilnował spisania umowy. Zrzekł się na korzyść samochodu nie tylko rower. Także telewizora, a nawet był gotów się poświęcić, żeby zamiast kielbasy jeść chudy serek.

W taki oto sposób nabyłam samochód osobowy marki FSO.

Kozą

nas, dla mnie i syna, las bez grzybów, to jak ogród bez kwiatów. Każdy ma swoje wariactwa. Nasze jest grzybowe.

A tu przychodzi do mnie znajomy i mówi, że sprzedaje tania samochód. Rzęch czternastoletni, lecz jeszcze się jakoś toczy. Okazja, Anno-Mario, policzcie ci zaledwie dwie i pół bańki.

Głupi czy co? A skąd niby ja mu te dwie i pół bańki wytrzasnę? Właśnie mi się popsuł telewizor, w dodatku pożyczony, i zamierzałam pożyczyc na jego naprawę pieniądze z pieniędzy, jakie składam od czterech miesięcy na rower dla syna. Ale już dwa razy sama sobie z nich pożyczę przed pierwszym, no i nie oddałam. Więc byłabym wyrodną matką, gdybym na zbliżające się urodziny syna nie kupiła wreszcie tego obiecanego roweru.

– Na swoje ukochane grzybki miałabyś czym jeździć, Anno-Mario. A podobno rosną, oj rosną obficie – kuśił znajomy. Syn z drugiego pokoju dosłyszał hasło: grzyby. Przybiegł.

– Mama! – woła – nie chcę roweru, chcę samochód!

Ładny gips! Popatrzyłam na znajomego wręcz z nienawiścią. Rower miałam opieką za półtorej bańki. Naskładałam już aż całą jedną. Z tej pensji

Z umową i dowodem rejestracyjnym poszłam do Wydziału Komunikacji na Bałutach. A tam kłębi się tłum niebawym. I kto to kiedyś śpiewał, że „nie dla mnie sznur samochodów”? Oj, ale te dawne piosenki były niesłuszne z gruntu. Widać to tu, w wyżej wymienionym urzędzie, gołym okiem.

Odstałam dwie godziny, żeby dowiedzieć się, że nic z tego. Najpierw muszę odwiedzić Izbę Skarbową. Tam mi wyliczą podatek, ostepłując co trzeba i dopiero wtedy tu. Do komunikacji.

Poszłam więc na drugie piętro, gdzie do rzeczonożego pokoju od wyliczania i ostepłowywania kłębił się kolejny tłum. Stałam posłusznie. Stałam. Jedną godzinę. Drugą. Gdy zbliżyłam się do trzeciej i do drzwi upragnionego pokoju – te zawarły się z głuchym trzaskiem: był to bowiem piątek, a w piątki pokój ów urządzone do godziny trzynastej. O czym sobie należy poczytać w informacji, wypisanej skromnymi literkami.

W poniedziałek rano nie mogłam, bo byłam umówiona z człowiekiem, z którym robiłam wywiad. Pogałam do urzędu koło jedenastej. Tłum jak co dzień. Stałam. Stałam. Godzinę. Drugą. W trzeciej dotarłam szczęśliwie aż do biurka, przy którym pani urzędniczka przestudiowała

tekst umowy, inne załączniki, po czym wypisała mi karteczkę. Z kwotą podatku do zapłacenia. Ale nie do kasy. O nie! Z tą karteczką to ja muszę udać się na parter, do innego pokoju, w którym inna pani urzędniczka przepiśnie mi ją na czysto, a potem dopiero z karteczką „na czysto” udam się do kasy. „Dziś pani tego nie załatwi – poinformowała mnie pani urzędniczka od karteczki „na brudno” – ponieważ tamten pokój oraz kasa urzędują do trzynastej”.

Więc we wtorek (trzeci dzień załatwiania) pobiegłam skoro świt, aby zająć kolejkę do tej pani, co przepiśnie na czysto. Byłam, chwalić Boga, pierwsza. Pani otworzyła pokój z piętnastominutowym opóźnieniem (ścierała kurze po remoncie). Przepisała mi z karteczki na brudno na karteczkę na czysto. Z tą karteczką udałam się do kasy, aby się uiścić. Uiszczona, musiałam udać się z powrotem na drugie piętro, gdzie miałam wypisywaną karteczkę na brudno. Tłum już kłębił się jak co dzień, itepe, itede. Dotarłam do biurka w normalnym czasie około trzech godzin. Pani ponownie przestudiowała tekst umowy itepe, itede, plus karteczkę na czysto, po czym bardzo akuracie zaczęła wypisywać dane w dużą księgę. Po dokonaniu owej czynności zabrała się za ostepłowywanie umowy. Wieloma pieczęciami o wielu różnych formatach. W te ostepłowywania zaczęła przepisywać od nowa dane z dużej księgi. Biedna! O mało się nad jej losem nie rozplakałam, że tyle ma ostepłowywania, tyle przepisywania, a tu taki tłum co dzień!

Ostepłowana i przepisana w kilku wariantach na czysto i na brudno, udałam się na piętro pierwsze, do Wydziału Komunikacji w celach dalszego ostepłowywania jako nowego właściciela samochodu. Tłum, oczywiście, jak co dzień. Nie szkodzi. Przywykłam. Stałam. Godzinę. Dwie. Trzy. Kiedy w czwartej dotarłam do okienka, to zatrzasnęło się. Przerwa. Od 13 do 13,30.

Nie szkodzi. Poczekalam. Załatwiłam w godzinie piątej stania nowy dowód rejestracyjny. Opuszczałam Urząd.

Byłam szczęśliwa. Życie jest piękne bez kozy

Anna-Maria

E. L. Skalnik. Z tygodnia na tydzień (23)

Anię zaskoczył tłok w przychodni. Niewielka poczekalnia przed gabinetami lekarskimi była nabitą matkami z chorymi dziećmi. Wózki tarasowały przejście. Wszystkie krzesła, oczywiście, zajęte. Przyjmował, oczywiście, tylko jeden lekarz.

– Boże, skąd tyle chorych bachorów? – pomyślała Anita, ciągnąc Bubę i Damianą pod okienko rejestracyjne – Przecież taka ciepła jesień w tym roku...

Dyżur w okienku miała, oczywiście, ta okropna baba z pazurami jak szpony, której nonszalancja i wyniosłość w traktowaniu pacjentów zawsze doprowadzały Anię do szewskiej pasji. Teraz też pani rejestratorka była pochłonięta super ważną czynno-

ścią. Jej usta, obrysowane krwistą szminką w krwiste serdusko, otworzyły się niespodziewanie szeroko i bluznęły:

– Nie urządać awantur! Proszę odejść od okienka! Nie ma na dziś przyjęć!

– Mama! Ja muszę... – zaczął Damian.

Chyba zaraz zwiariuje – pomyślała Anita. I krzyknęła do tej z okienkiem, że jeżeli zaraz, natychmiast nie wyciągnie kart do lekarza, to pójdzie złożyć skargę do kierownika przychodni, napisze do Gazety Wyborczej, do radioranka, do ministerstwa, wszędzie!

– A pisz pani nawet na Berdyczów – odpowiedzia-

ła – Dla personelu mają, a dla dzieciaków nie, żeby ich cholera – wtrąciła następna. – Pobodowali takie za komunę bez żadnego pomysłu.

– A co ma wspólnego komuną z zamkniętą na klucz ubikacją? – rozsierdziła się inna – Słyszała pani, jak ta z rejestracji potraktowała tę panią z tymi chorymi dziećmi? A przecież już nie komuną, co nie? A gorzej niż za komunę. Za komunę to taka by się bała i gazety, i radia, i skargi. A teraz się nie boją nikogo.

– O, Boże – pomyślała Anita, popychając Damianą i Bubę ku wyjściu. – Tego się nie da znieść, tego nie da się słuchać.

Żeby pójść na piętro „do dorosłych”, musiała obejść budynek przychodni. Deszcz lał, wiatr szarpał parasolem. Damian nie zdążył. Jęknął, pochylił

się, zaczął wymiotować wprost na chodnik. Należało mu pomóc, przytrzymać głowę, a tu ręce zajęte Bubą i parasolem. Cisnęła parasol, zostawiła Bubę, pochyliła się nad synem. Męczył się bardzo. Buba obojętnie mokła w deszczu.

– Bubunia, czemu się nie schowasz pod daszek? – zawołała, ale Buba nie zareagowała. Anita dostrzegła, że dziecko szybko chwytą ustami powietrze. Jezu najmilszy, co jest? Jakby się dusiła?

Jakiś przechodzący ulicą mężczyzna pod czarnym parasolem przystanął i podniesionym głosem rozpoczął perorę na temat dzieci, które zanieczyszczą chodnik i ich matek, które na to przyzwalają.

– Buba, chodź do mamusi! – krzyknęła Anita, powstrzymując płacz. Przy niej charczało jedno dziecko, a drugie stało nieruchomo, moknąc, dysząc szmatywnie.

– Niech mi pan pomoże! Nie widzi pan, że moje dzieci są bardzo chore?

Mężczyzna machnął parasolem. Dołożył zdanko o bezczelności i energicznie odszedł.

– Posikałem się, mamusiu – zapłakał Damian.

– Cii..., nie szkodzi, nie przejmuj się...

– I słabo mi bardzo, mamusiu.

– O, Boże, syneczku! i co ja z wami zrobię sama? Poczekaj, chwyc mnie za szyję... o tak... zaniosę ciebie do lekarza... Buba, Bubunia, chodź, chodź... ciebie już nie mam jak wziąć na ręce, Bubunia, słyszysz? Nie stój tak! Chodź tu, za mamusią! Idziemy do pani doktor!

Ale Buba nie poruszyła się. Deszcz zmoczył jej jasne włoski, ściekał po płonącej buzi.

– Buba! – krzyknęła rozpaczliwie Anita.

Z parasolką ciśniętą na chodniku, której nie miała

Trzy pokoje z kuchnią w starym budownictwie

cia mieszania kawy. Nie uniosła nawet głowy. Mieszkała. Z wdziękiem i elegancją unosząc zagięty w haczyk mały palec, zakoficzoną wypukłym, krwawo czerwonym szponem paznokcia.

– Mama! Ja chcę do ubikacji – oznajmił Damian.

Anita zignorowała prośbę syna, czując, że ją ogarnia zimna wściekłość. Na wszystko. Na tę cholerną babę za okienkiem, na te siedzące pod ścianami inne baby, hohubujące swoje chore dzieci z tępymi, cierpliwymi twarzami; na tę ciasnotę poczekalni, nie przystosowanej do przyjmowania pacjentów, na ten tłok, na deszcz – który akurat właśnie dziś – gdy Buba dostała wysypki, a Damian mdłości – rozpadła się od samego rana; na tego swego męża udającego rekonwalescenta, który tam, w domu siedzi sobie spokojnie niczym się nie przejmując, nawet własnymi dziećmi, podczas gdy ona musi się z nimi ciągnąć i użerać z takimi chamkami, jak ta tutaj, za okienkiem.

Zabębniła w szybę. Pani rejestratorka w doskonałym spokoju zakończyła wzniosłą czynność mieszania kawy. Wyjęła ze szklanki łyżeczkę. Oblizła ją bardzo wytwornie. Odłożyła na spodeczek. Po czym pochyliła się nad rozłożonymi przed sobą papierzykami.

– Mama! słyszysz? – napierał Damian.

– Cicha bądź! – ofuknęła go Anita, szarpnęła w złości Bogu ducha winną Bubę – A ty stój spokojnie, nie wierz się, bo cię zdziele.

Jakieś dziecko z poczekalni zaniosło się świdorującym w uszach, cienkim dyszkancikiem płaczu.

Zabębniła w szybę okienka tak mocno, że szkło odpowiedziało rezonansem. Pomogło. Pani rejestratorka była uprzejma unieść sztuczne rzęsy znad pa-

ła pani rejestratorka – Jak się ma chore dzieci, to trzeba z nimi przychodzić o siódmej rano, a nie o dwunastej w południe.

– Mama, ja już dłużej nie mogę!

– Damian, nie marudź! Trzeba się było załatwić w domu, przed wyjściem!

– Przed wyjściem mi się nie chciało, a teraz chce! I młi mnie!

Zabębniła w szybę.

– Moje dzieci są chore, słyszysz pani?! Proszę wyciągnąć karty, to należy do pani obowiązków! Córka ma wysoką gorączkę! Syn wymiotuje!

Ale pani rejestratorka w odpowiedzi zgarnęła jednym, szybkim ruchem papierzyka i wraz z nimi równie pośpiesznie zniknęła za wysokimi, ustawionymi aż pod sufit segregatorami.

– Boże – powiedziała Anita.

– Bardzo mnie młi! Mam, niedobrze mi! – zawołał Damian. Zbladł. Czoło pokryło mu się kropelkami potu. Uchwycił się ręką za usta. A Buba stała obok pokornie cicho, z silnymi wypiekami na pucyfawatych policzkach.

Ona jest chora, bardzo chora. Coraz bardziej chora – pomyślała w panice Anita. – I Damian też. A tu tyle chorych dzieci... Dlaczego aż tyle? Jakaś epidemia? Ubikacja... a gdzie ona jest, przeklęta? Powinna być, ale dużo rzeczy powinno być, a ich nie ma. Nie było, nie ma i nie będzie.

– Damianku, wytrzymaj jeszcze chwilę. Zaraz znajdziemy ubikację.

– Musi pani na piętro, do dorosłych, bo tu na dole nie ma żadnej – odezwała się jakaś matka, kłyszcząca na kolanach zanoszącego się raz po raz kaszlem dwulatką.

się, zaczął wymiotować wprost na chodnik. Należało mu pomóc, przytrzymać głowę, a tu ręce zajęte Bubą i parasolem. Cisnęła parasol, zostawiła Bubę, pochyliła się nad synem. Męczył się bardzo. Buba obojętnie mokła w deszczu.

– Bubunia, czemu się nie schowasz pod daszek? – zawołała, ale Buba nie zareagowała. Anita dostrzegła, że dziecko szybko chwytą ustami powietrze. Jezu najmilszy, co jest? Jakby się dusiła?

Jakiś przechodzący ulicą mężczyzna pod czarnym parasolem przystanął i podniesionym głosem rozpoczął perorę na temat dzieci, które zanieczyszczą chodnik i ich matek, które na to przyzwalają.

– Buba, chodź do mamusi! – krzyknęła Anita, powstrzymując płacz. Przy niej charczało jedno dziecko, a drugie stało nieruchomo, moknąc, dysząc szmatywnie.

– Niech mi pan pomoże! Nie widzi pan, że moje dzieci są bardzo chore?

Mężczyzna machnął parasolem. Dołożył zdanko o bezczelności i energicznie odszedł.

– Posikałem się, mamusiu – zapłakał Damian.

– Cii..., nie szkodzi, nie przejmuj się...

– I słabo mi bardzo, mamusiu.

– O, Boże, syneczku! i co ja z wami zrobię sama? Poczekaj, chwyc mnie za szyję... o tak... zaniosę ciebie do lekarza... Buba, Bubunia, chodź, chodź... ciebie już nie mam jak wziąć na ręce, Bubunia, słyszysz? Nie stój tak! Chodź tu, za mamusią! Idziemy do pani doktor!

Ale Buba nie poruszyła się. Deszcz zmoczył jej jasne włoski, ściekał po płonącej buzi.

– Buba! – krzyknęła rozpaczliwie Anita.

Z parasolką ciśniętą na chodniku, której nie miała

Cdn.



Zdrada przyjaciela naruszy zaufanie i zakłopotuje, lecz zarazem uzmysłowi, że lepsza prawda, która boli niż kłamstwo napawające złudnym spokojem. Przełożony zażąda wykazania się w pracy, obciążając nowymi obowiązkami.



Nadzieje na rychły zysk okazały się złudne. Przeszkoda została pokonana, dalsze piętrzą się na drodze. Propozycja współpracy zabrzmi poważnie, lecz skrywać będzie zasadkę, którą trzeba ominąć. Niespodziewany gość w poniedziałek.



Z dawna oczekiwana wiadomość już w drodze. Wyjazd może nastąpić w każdej chwili. Nie wolno jednak ulegać złudzeniom, a snucie nierealnych planów będzie poddane krytycznemu osądowi otoczenia. Zakazy i nakazy są po to, by je łamać, lecz nigdy za wszelką cenę, gdyż cena okaże się zbyt wysoka.



Najwyższy czas nie lekceważyć zdrowia i zająć się sprawami naprawdę istotnymi. Złe samopoczucie ma swoje przyczyny, choć jest też swoistym darem losu. Wszystko wyjaśni się w ciągu najbliższych dni. Trzeba wykorzystać tę wiedzę i uparcie trwać przy swoim.



Nie wolno planować przyszłości, skoro pozostawilo się za sobą kilka spraw wymagających załatwienia i dokończenia. Przyszłość owszem, kusi, lecz czas przeszły nie został definitywnie zakończony. Będzie to wspomniane i poczytane za lekceważenie rad i obowiązków.



Niczemu nie należy się dziwić. Los płata figle, raz przytłaczając nieszczęściem, to znów ofiarowując spełnienie marzeń. Gwiazdy radzą unikać sporów i nie dążyć do rozwiązania problemów za wszelką cenę. Sprawiedliwość zwycięży, musi, musi zwyciężyć.



Za chwilę szaleństwa trzeba zapłacić, lecz jakże miła to zapłata. Czas wrócić do rzeczywistości, zając się „przyziemnymi” sprawami: nakarmić kota, wyprowadzić psa, posprzątać mieszkanie, odwiedzić dawno niewidzianych przyjaciół i zakrzętnąć się wokół pieniędzy.



Ostrożnie z humorami. Otoczenie wymaga od Skorpionów czułości i okazywania przyjaźni. Najdrobniejszy błąd może sporo kosztować. Łatwo niszczyć, trudniej odbudować. Dlatego Gwiazdy przestrzegają: złe fatum zawisło nad Skorpionami. Niechaj nie podejmują pochopnych decyzji.



Każdy z nas bierze na siebie „dwie odpowiedzialności”: za siebie oraz za bliską osobę. Więzy są po to, by trwały na dobre i na złe. Jeśli przychodzi zła chwila nie wolno ich targać, a przeciwnie – trzeba zacieśnić i wspólnie iść tam, dokąd los wiedzie.



Propozycja zarobku zaskoczy, zadziwiając swoją prostotą. Wy mówki będą odrzucone i uznane za miganie się. Są chwile, gdy trzeba zrezygnować z osobistych ambicji i podjąć się zadań, które być może nie napawają satysfakcją, lecz przynoszą za to pokazywany dochód.



Rozsądek zwycięży, jeśli poważnie i bez samooszustwa policzymy zyski i straty, które mogą wynikać z naszego postępowania. Życie bywa szorstkie i okrutne. Nie dajmy się więc zwariować, kroczmy utartym torem. Na jego zmianę zbyt wcześnie.



„Wiedzący” bywają największymi głupcami: ci, którzy planują swe życie do najmniejszego szczegółu oszukują sami siebie. Księżyca zdradzi z Ryb, popychając je do czynu przerażającego ich miarę. Koniec stanie się początkiem nowego układu, który mocno zaważy na dalszym życiu.

SAR. MON. SULIAN

Szwajcarski boss od striptizu kradnie Małgosię!

Od razu uzyskała aplauz gości, którzy nagrodzili ją tytułem Miss Sexlandu – Miss Publiczności, ku zaskoczeniu pozostałych 14 dziewcząt od dawna zajmujących się striptizem. Osiemnastoletnia Małgosia przyjechała z Poddębic, porzucając swojego chłopaka, który zbyt mocno rościł sobie do niej prawa.

Rytuał kuszenia mężczyzn podoba jej się. Na początku nie denerwowała się,

obecnie, mimo rutyny, często drżą jej nogi, choć tego nie widać.

Sprawne dłonie wędrujące po biodrach, piersiach, udach oraz dziewczęcą buzię dostrzegł jeden z bossów szkoły striptizu ze Szwajcarii, proponując Małgosi odkrywanie tam swoich wdzięków. Za występ będzie otrzymywała 100 dolarów. Po roku zamierza wrócić do Sexlandu.



Rytuał kuszenia

Foto: Janusz Kubik



Ile kosztuje „i nie opuszczę cię aż do śmierci”?

Niedawno przysłuchiwałam się rozmowie dwóch moich koleżanek, matek dorosłych dzieci, które wymieniały doświadczenia związane z ożenkiem syna i zamążpójściem córki. Nie ukrywam, że ja, gdy 30 lat temu wychodziłam za mąż, to do ślubu z moim przyszłym mężem pojechałam tramwajem, a za bukiet ślubny posłużył mi pecek groszków kupionych na straganie. Czasy się jednak zmieniły i widać ja za nimi już nie nadążam.

Dziś okrągły milion wydaje się na kwiaty, a drugi na wynajęcie eleganckiego samochoodu, aby z fasonem zajechać do ślubu. Sama biała suknia dla panny młodej kosztuje tyle, co średnia pensja, a bywa, że i 2-3 pensje. Powiedzmy jednak, że oszczędzamy i suknia jest za półtora miliona. Do tego stroik i welon – 250 tys., buty 200-300 tys., bielizna jeszcze 200 tys. Skromnie licząc 2-2,5 miliona i panna młoda jest ubrana do kościoła.

Strój do Urzędu Stanu Cywilnego jest znacznie tańszy. Jeżeli nie kupuje się drugich butów, a tylko materiał na sukienkę (powiedzmy 200 tys.) i szyje się ją u dobrej krawcowej, to wynosi to około 800 tys. Trzeba jeszcze wspomnieć o takich damskich drobiazgach jak: rajstopy (minimum 16 tys.), sztuczna biżuteria (100 tys.), wizyta u fryzjera i kosmetyczki (300-350 tys.) i już razem mamy 1,2 miliona.

Tańszy jest ekwipunek ślubny panny młodej. Jeżeli ma zaufanie do krajowych krawców, to elegancki garnitur kupi za 900 tys., a koszulę za 80, bielizny ślubnej kupować nie musi, wystarczy mu ta, jaką ma. Gdyby jednak chciał mieć koszulę z Mody Polskiej, to trzeba uiścić 220 tys. Modny, wzorzysty

krawat (150 tys.) da się zastąpić elegancką muszką, która kosztuje tylko 25 tys. Gorzej z butami, w sportowych nie wypada wystąpić, więc trzeba wyasygnować kolejne 300 tys. Razem pan młody „kosztuje” w granicach półtora miliona.

Jeżeli zapobiegliwi rodzice nowożeńców nie ulokowali wcześniej oszczędności w złocie i trzeba

Będzie ślub

kupić obrączki, to oznacza to wydatek kolejnego miliona (co najmniej – cena zależy od próby złota, wagi i ewentualnego grawerunku). Po szczęśliwym dopasowaniu i zarezerwowaniu wszystkich terminów, przychodzi kolej na dalsze opłaty. Ślubna usługa w USC kosztuje skromnie 31 tys. (cena z maja), do tego akompaniament muzyczny (50 tys.) oraz podanie szampana (6 butelek po 40 tys. plus 10 tys. za rozlanie każdej butelki, razem około 300 tys.). Ogółem można uznać, że 400 tys. wystarczy.

Opłaty w kościele są bardziej złożone. Za zapowiedzi płaci się 50-100 tys. oddzielnie w każdej parafii, a za samą ceremonię „co łaska, ile państwo przeznaczycie”. Zwykle państwo młodzi „przeznaczają” nie mniej niż pół miliona. W dniu ślubu trzeba jeszcze zadbać, żeby kościelny nie chodził z tacą wśród gości a organista nie fałszował. Razem wydatki około miliona.

Z uroczystości wypadają pamiątki. Nagranie

ślubu i fragmentu wesela na video kosztuje od 800 tys. (amatorzy) do 1,5 miliona (profesjonaliści). Wizyta u fotografa kolejne 1,5 miliona. Jeśli kolega lub kuzyn robi zdjęcia, to wypada mu zwrócić koszty materiału (kolorowy film z wywołaniem – 50 tys., każda odbitka po 2300 – 2500), co oznacza dalsze pół miliona.

Ongiś brak wesela był przyjmowany ze zrozumieniem, wystarczyło przyjęcie dla najbliższej rodziny i przyjaciół. Dziś ze zdumieniem słuchałam argumentów, że „trzeba”, „wypada”, „mamy zobowiązania”, „jak ich nie zaprosimy, to zerwają kontakty” itp. Tak więc bez wesela ani rusz. Koszt przyjęcia weselnego waha się od 200 do 300 tys. od osoby, nie licząc wydatków na alkohol, zimne napoje, owoce i słodycze. Jeśli do tańca przygrywa orkiestra to trzeba wyasygnować 2 miliony, jeśli discjockey ze swoją aparaturą to tylko półtora miliona. Przy liczbie gości nie przekraczającej 50 osób można zmieścić się w granicach 15 milionów. Ale jak słyszę bywają wesela na 100 i więcej osób. Jeśli goście są zamiejscowi, a mieszkanie mamy małe, to wypada ulokować ich w jakimś skromnym hotelu, ale w takim przypadku należność pokrywają już sami.

Po wysłuchaniu doświadczonej w wydatkach matrymonialnych znajomych uświadomiłam sobie, że mam dorastającą córkę i syna na studiach. Niebawem może przyjść moment, że usłyszę – chcemy się pobrać, ślub za trzy miesiące. W popłochu zaczęłam liczyć ile to może kosztować. Wyszło mi, że nie mniej niż 25 milionów trzeba mieć na każdy ślub i wesele. Może uda się coś oszczędzić, rodzinie mamy niezbyt liczną, a obrączki dla dzieci zostały kupione przed laty.

Zofia Wilczyńska